

SIŁAMI NATURY

*czyli bez silnika przez
Amerykę Południową*

MICHAŁ KOZOK

NASZLAKU



20 stycznia 2013 roku, niedziela

Cabo Froward, Chile, najdalej na południe wysunięty punkt kontynentalnej Ameryki. Świeciło słońce, na niebie wisało niewiele chmur, wiatr urywał głowę. Nade mną górował potężny, żelazny Cruz de los Mares. Gdzieś w dole, z Cieśniny Magellana wynurzył się delfin. Odwróciłem wzrok, żeby jeszcze raz spojrzeć na Ziemię Ognistą, majaczącą po drugiej stronie przesmyku – kierunek się zgadzał. Wymarzyłem to sobie prawie dziewięć lat wcześniej: być właśnie tu, dokładnie w tym miejscu, skąd każdy krok może prowadzić tylko na północ.

Chwyciłem Grażynkę i owinąłem ją sobie wokół pasa.

Zacząłem biec.

Minutę później drogę zagroził mi klif.



Na szlaku

Upadki i wzloty (nosi mnie)

Nazywam się Michał Kozok i bez przerwy mnie gdzieś nosi. To coś jak choroba, oczywiście nieuleczalna – nieumiejętność usiedzenia dłużej w jednym miejscu.

Nie przesadzam.

Mieszkałem już w Polsce, Wielkiej Brytanii, Chorwacji, Chinach i – to wciąż aktualne – w Australii. W każdym z tych państw pracowałem. Byłem między innymi pilotem wycieczek, budowlańcem, kucharzem, akwizytorem, kierowcą, zbieraczem truskawek, kierownikiem sklepu, sprzedawcą, ogrodnikiem, niańką, nauczycielem angielskiego, specjalistą od marketingu, a nawet trenerem reprezentacji siatkarek w Korei (Południowej, ale zapewniam, że też się działo). Łącznie wykonywałem pięćdziesiąt dziewięć różnych zajęć na trzydziestu dziewięciu stanowiskach. Wystąpiłem również w reklamie Nike i patroszyłem kurczaki – na szczęście nie równocześnie.

Ponadto nieustannie pakuję się w jakieś tarapaty: jak nie oszuści, to sekta, szkoda gadać! Zdarzyło mi się też być jedną nogą w grobie, za to prawie w ogóle nie choruję. Nawet gdy w Burkina Faso zdiagnozowano u mnie malarię mózgową, udało mi się ją wyleczyć zanim pojawiły się pierwsze objawy. Poza tym jestem drobiazgowy, słucham polskiego rocka, bywam nerwowo, biegam, mam słabość do dmuchanych żółtych kaczek i raz na jakiś czas mi odbija.

Mówiąc jeszcze inaczej: moje życie to ciągła jazda. Na wozie albo – zdecydowanie częściej – pod wozem.

Przy czym – chciałbym, żeby to było jasne – nie narzekam. Po prostu, wspominam o tym wszystkim już teraz, na wstępie, bo uważam, że tak będzie uczciwiej. Zabieram się za opowiedzenie długiej historii o co najmniej równie

długiej podróży, która zaczęła się dziesięć lat temu od tego, że z zawiści i wściekłości nie mogłem zasnąć, chociaż leżałem w wygodnym hamaku na statku płynącym po Amazonce, pomyślałem więc, że każdego, kto chciałby się z nią zapoznać, lojalnie ostrzegę, z kim będzie miał do czynienia. Ze mną. A zatem: lektura na własną odpowiedzialność.

Zaczynamy.

Pochodzę z Górnego Śląska. Urodziłem się w Rybniku, a dzieciństwo i młodość spędziłem w Żorach. Gdy miałem piętnaście lat, stanąłem przed pierwszą ważną, a, jak się potem okazało, także brzemienną w skutki, decyzją: wyborem szkoły średniej. Nauka w liceum mnie nie interesowała, pozostawało więc znaleźć odpowiednie technikum. A skoro rodzice nie mieli wątpliwości, że na mechanika się nie nadaję, ja też nie wątpiłem i poszedłem, a jakże, do technikum mechanicznego. Niestety szybko okazało się, kto miał rację. Nie warto na złość mamie odmrażać sobie uszu. Obróbka skrawaniem – co tu dodać? Przedmiot o nazwie „podstawy konstrukcji maszyn” do dzisiaj wspominam jak najgorszy koszmar. Wymagano ode mnie precyzyjnego kaligrafowania rapidografami na kalce technicznej, podczas gdy ja z trudem bazgrałem w zeszytach. Mimo tego i tak się starałem. Kiedy jednak – to było już w drugiej klasie – zabrano nas na wycieczkę pogładową po pobliskich fabrykach i hutach, ostatecznie porzuciłem nadzieję, że nauka w wybranej przeze mnie szkole przyda mi się w życiu do czegośkolwiek.

Po mniej więcej dwudziestu latach miałem się przekonać, że zwątpiłem pochośnie.

Tymczasem zaś, jeszcze zanim zdałem maturę, zacząłem jeździć. Najpierw głównie rowerem, a potem, już w trakcie studiów na krakowskiej Akademii Wychowania Fizycznego, autostopem. Wydając grosze, zwiedziłem w ten sposób pół Europy. Między innymi objechałem rowerem Wielką Brytanię, dotarłem też do Norwegii, a z każdym kolejnym wyjazdem rósł mój apetyt na jeszcze więcej.

Wreszcie, zaraz po ukończeniu studiów, za pieniądze odłożone ze stypendium naukowego wybrałem się drogą lądową pod Mount Everest. To było to, podróż do Azji z budżetem wynoszącym całe siedem dolarów dziennie! Noclegi gdzie popadnie, czasem u miejscowych, kiedy indziej znów na przystankach, kilometry przejechane na dachach autobusów lub stopem, a do tego przestrzenie, wielka przygoda oraz emocje związane z poznawaniem zupełnie nowych ludzi i kultur.

W tej euforii całkiem straciłem czujność. Byłem głupi, naiwny, a potem z bezsilności chciało mi się już tylko płakać. Banalna sprawa: trafiłem na oszu-

stów i jak dziecko we mgle (czytaj: naiwniak w Indiach) dałem się im dokładnie oskubać. W dodatku pieniądze były nie tylko moje, ale i pożyczone. Do Polski wracałem z przetrąconym poczuciem pewności siebie i w długach.

To był zły czas.

Upadłem naprawdę nisko, a rodzina – mimo najlepszych chęci – nie była w stanie wesprzeć mnie finansowo (moja mama, samotnie wychowująca trójkę dzieci – mam dwie siostry – utrzymywała się z pensji w budżetówce). Waleto- wałem w akademiku, nie bardzo wiedziałem, co dalej robić, i właśnie wtedy, przeglądając gazetę w poszukiwaniu ofert jakiegokolwiek pracy, która pozwoli- ła by mi się odkuć, trafiłem na to ogłoszenie:

Poszukiwani wolontariusze na festiwal kultury i sportu w Korei (...)

Przełot, żarcie, noclegi – wszystko w cenie. A cena taka, że właściwie za darmo. Pewnie, że powinno to wzbudzić moje podejrzenia, ale znajdowałem się wtedy w takim stanie, że byłem gotów uwierzyć we wszystko, co dawało choćby cień szansy na to, że niesprzyjająca mi karta wreszcie się odwróci.

Polecałem. I zamiast się podnieść, stoczyłem się jeszcze bardziej.

Jako wolontariusz podczas festiwalu oficjalnie miałem być trenerem europejskiej reprezentacji siatkarek. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że brzmi to dziwnie. Jeszcze dziwniej wyglądały treningi – prowadziłem je w siedmiostopniowym mrozie na parkingu wśród samochodów. No cóż, i ślepy by dostrzegł, więc i ja się zorientowałem, że tu wcale nie chodzi o sport ani o kulturę.

Tyle tylko, że wtedy byłem już tam, w Seulu.

Może kojarzycie taki obrazek z telewizji? Wypełniony po brzegi stadion, pełno ludzi, nikt jednak nie myśli o graniu w piłkę. W ogóle – mało kto myśli. Do tego są wyznaczeni funkcyjni. – Kampaj! – skandują za to wszyscy równo i na komendę. – Kampaj! Sto lat, nasz kochany ojczu!

Tak, chciano mnie ożenić.

Bo te tłumy to setki par małżeńskich czekających na udzielenie im zbiorowego ślubu. Państwo młodzi jak się patrzy, z całego świata, po okresie burzliwego narzeczeństwa ze zdjęciem. Oj, co tam się działo! Ceremonia wina, ceremonia kija, przepowiednie medium, kiwanie się podczas modłów. Klepanie po plecach! A wszystko po to, by – właśnie – złożyć przysięgę przedmałżeńską, wziąć ślub z nieznaną, a następnie (przynajmniej przez pewien czas) wieść z nią osobne życie. Zero alkoholu, zero seksu, czerwone krawaty. Kosmos! Ku chwale osiemdziesięcioletniego Koreańczyka, założyciela tzw. Kościoła Zjednoczeniowego, który znalazł sobie całkiem intratny sposób na życie, ogłaszając, że jest Mesjaszem.

Sekta Moona*.

To właśnie w jej tryby wpadłem, w dodatku – nie da się ukryć – na własne życzenie. Gdy połapałem się, o co w tym chodzi (a chodzi, z grubsza, o robienie ludziom sieczki z mózgu), ogarnęła mnie obawa, że jest już za późno. Bałem się, że przekroczyłem granicę, zza której nie ma powrotu. Przez dwa tygodnie prawie w ogóle nie jadłem, podejrzewając, że do posiłków mogą być dodawane narkotyki, i próbowałem nie dać się zwariować.

Udało mi się. A przynajmniej prawie.

Z początku starałem się też jeszcze coś zmienić. Widząc, jak kiepska jest komunikacja wewnątrz grupy, do której mnie przydzielono, usiłowałem ją usprawnić i wprowadzić jakieś doraźne rozwiązania, które ułatwiłyby wszystkim życie. Naiwny. Im przecież właśnie o to chodziło – żeby nikt nic nie wiedział, nie mógł nic zaplanować i czekał na przywracającą ład decyzję z góry. Niedobór snu i trzymanie w niepewności jako sposób na zarządzanie ludźmi. Wybuchłem, kiedy pewnego dnia najpierw nawet kierowca nie wiedział, dokąd nas wiezie (przerzucano nas z jednego autokaru do drugiego), a za chwilę, podczas zwiedzania muzeum, z nabożeństwem pokazano nam, zawiniętą w białą chusteczkę, nadgryzioną przez żonę Moona zasuszoną kupę ich dziecka (jednego z trzynastu; podobno w Azji jest taki zwyczaj, wtedy jednak nie miałem o tym pojęcia).

Powiedziałem dosyć. Wydawało mi się, że jestem cwany.

Zacząłem się wyłamywać i próbowałem pozwiedzać Koreę na własną rękę. Unikałem zorganizowanych spotkań, a opiekun Polaków biorących udział w „festiwalu”, zwany niekiedy „ojcem duchowym polskiej grupy”, żeby mnie ułagodzić i nie mieć ze mną więcej problemów trzymał się wersji, że jestem tutaj tylko od sportu. Miałem prowadzić treningi, więc prowadziłem – poranną gimnastykę w hotelu, której większą część i tak zresztą zajmowało czytanie świętych pism Moona.

I znów zawiodła mnie czujność.

Któregoś ranka podstępem namówiono mnie, żebym mimo wszystko zgodził się wziąć udział w bliżej nieokreślonej defiladzie. Przystałem na to, bo też głupio mi było tak wszystkiego odmawiać, kiedy jednak wszedłem wraz z innymi do ogromnej hali olimpijskiej, ogarnął mnie paraliżujący lęk. Przy akompaniamencie podniosłej muzyki kilkanaście tysięcy osób z rękami w górze wołało „Kampaj!” na cześć naszego ziemskiego boga.

* Sun Myung Moon (1920-2012), założyciel i przywódca Ruchu pod Wezwaniem Ducha Świętego na Rzecz Zjednoczenia Chrześcijaństwa Światowego.

Straciłem resztki pewności siebie.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem się na wielkim ekranie. Razem ze mną na powiększonego, kilkumetrowego mnie patrzyły tysiące par oczu. Jak mógłbym teraz zawieść? To nie była jakaś tam defilada. To była uroczystość, w której brał udział sam wielebny, a ja – w jaskrawożółtym dresie, w dodatku oglądany przez wszystkich na telebimie – reprezentowałem na niej Europę! Ustawiono nas dokładnie naprzeciw niego: osiem drużyn, każda po osiemdziesiąt osób. Stałem z przodu, blisko, w paszczy lwa, wprost przed Moonem. Czułem jego charyzmę i promieniującą od niego siłę. Bałem się go. Byłem pewien, że za chwilę wskaże mnie palcem, żeby zdemaskować moją postawę. Niemoralną, naganną, niewdzięczną. Że doskonale wie o tym, że w ciągu ostatnich dni nie tylko sam okazywałem mu nieposłuszeństwo, ale także podburzałem innych, by nie stosowali się do obowiązujących nas reguł.

Nie wytrzymałem.

Pod presją ogłuszającego wrzasku wydobywającego się z tysięcy gardeł, mając za sobą osiemdziesięciu uradowanych, młodych wyznawców, filmowany przez biegających między nami operatorów kamer, ja też posłusznie wyrzuciłem do góry ręce i ze wszystkich sił starałem się przekrzyknąć innych, wołając:

– Kampaj! Kampaj! Kampaj!

To był mój koniec.

Upokorzony, wycieńczony psychicznie i totalnie splukany opuszczałem Seul co prawda bez żony, ale za to i bez wiary, że cokolwiek w moim życiu się uda. Ten stan dodatkowo potęgowała obawa, że, ponieważ dla ludzi Moona okazałem się nabytkiem bezużytecznym, sekta zażąda ode mnie zwrotu kosztów, jakie poniosła w związku z moim pobytem w Korei. Musiałem zacząć zarabiać, jak najpilniej. Wystarałem się więc o to, by bilet powrotny z „festiwalu” wystawiono mi z przesiadką w Londynie, i tam zamierzałem poszukać jakiejś pracy.

Nie było łatwo, bo rok 2000 to jeszcze nie czasy polskiej ziemi obiecanej na Wyspach. Cztery lata przed wstąpieniem naszego kraju do Unii Europejskiej problemem bywało często nawet samo przekroczenie brytyjskiej granicy, szczególnie gdy w kieszeni miało się kwotę wystarczającą na ledwie kilka dni życia w Anglii. Tym razem jednak dopisało mi szczęście. Nietypowo! Udało mi się wjechać, ale – czy będzie to dla kogoś zaskoczeniem? – moja dobra passa dobiegła końca jeszcze zanim się rozpoczęła.

Najpierw znowu dałem się naciągnąć (oszukali mnie polscy Romowie, u których się zatrzymałem, a ja, zupełnie pozbawiony asertywności po cięż-

kich doświadczeniach z Seulu, nie potrafiłem się im przeciwstawić), a potem zadzwoniłem do domu. Na koszt rozmówcy.

– Synku! – w pewnym momencie rozmowy mama wybuchła płaczem. Nie wiedziałem, o co może jej chodzić, lecz na pewno nie brzmiała tak, jakby się tylko stęskniła.

– Ja wiem, że ty musisz mówić to, co ci każą. Synku! Czy ty masz pistolet przy głowie?

O rany!

Byłem pewien, że o kłopotach, w jakie się wpakowałem, nikt nie wie, tymczasem okazało się, że w trakcie mojego pobytu w Korei polska telewizja wyemitowała reportaż o osobach porwanych przez sektę Moona, a dominikanie odprawiali msze w mojej intencji. Przeżyłem szok. Dotarło do mnie: co ja zrobiłem?! Przecież po tym, jak zdecydowałem się na ten nieszczęsny wyjazd, namawiałem do niego także swoich znajomych oraz przyjaciół. I pewnie jeszcze z pół akademika! Kto mi teraz uwierzy, zaufa? Nawet rodzina nie była pewna, po której jestem stronie. To był cios. Tyle ważnych dla mnie osób miało pełne podstawy do tego, by traktować mnie jak naganiacza do sekty.

Z czerwonej budki telefonicznej, zawsze tak ładnie komponującej się z krajobrazem, wyszedłem otumaniony i załamany. Jeśli zdarzało mi się już wcześniej mieć nie najlepsze zdanie o sobie, co miałem powiedzieć teraz?

Popadłem w manię niższości.

Choć miałem w pokoju wygodne łóżko, spałem na stojącym obok – zepsutym. Jadąc autobusem, byłem gotów przepuścić swój przystanek, nie naciskając STOP-u, jeśli tylko zauważyłem, że komuś, kto jedzie dalej, się śpieszy. Naprawdę, odbiło mi na poważnie. Ale wariactwo to tylko jedna strona medalu. Drugą były upokorzenia. Nigdy nie zapomnę zwłaszcza tego uczucia, kiedy w trakcie zakupów w supermarkecie, po zapakowaniu do koszyka spaghetti oraz fasolek po siedem pensów za sztukę, które stanowiły wówczas podstawę mojej diety, sięgnąłem także na półkę z papierem toaletowym i zorientowałem się, że – hola, hola! – ale na taki luksus to mnie już nie stać. Nie miałem więcej gotówki! Cóż było robić? Prosto z zakupów poszedłem do McDonald's, zamknąłem się w kabinie i narwałem zapas. Do tego doszło: musiałem kraść papier toaletowy!

Ponieważ nijak nie umiałem znaleźć pracy na własną rękę, po raz kolejny pożyczyłem pieniądze (Magda, dziękuję!) i zapłaciłem za jej załatwienie pośrednikowi. Przypominam, że to był rok 2000 i w przypadku kogoś takiego jak ja w grę wchodziła wyłącznie robota na czarno.

Pamiętam ten dzień. Mój pierwszy w pracy, w której pokładałem takie nadzieje. Te emocje, kiedy rano przyszedłem pod wskazany adres i zamiast osoby, która powinna była tam na mnie czekać, na ulicy zobaczyłem radiowóz. Znowu panika! Znowu te skurcze żołądka ze strachu. Miałem dosyć.

I właśnie wtedy, chyba dlatego, że gorzej być już nie mogło, zaczęło być lepiej.

Najpierw odjechali policjanci (zresztą w ogóle się mną nie interesując), tuż po nich na miejsce dotarł spóźniony szef budowy, a po kolejnej chwili ja miałem pracę. Ciężką, ale ani mi było w głowie się skarżyć. Nosiłem drzwi, chwytając je gołymi rękami, bo nie było mnie stać na rękawice. Gdy pod koniec dnia usiadłem, żeby odpocząć, miałem dłonie całe we krwi i łyzy w oczach. Pozostali robotnicy, myśląc, że to na pewno z bólu, pomogli mi opatrzyć rany, ktoś także pożyczył mi rękawiczki. A ja, owszem, płakałem, ale ze szczęścia. Wreszcie czułem, że coś ode mnie zależy, i z nadzieją patrzyłem w przyszłość.

Nie uwierzycie: tym razem się nie pomyliłem.

Już po pierwszej wypłacie oddałem część długów, a po kilku miesiącach zacząłem wychodzić na prostą. W połowie roku wróciłem do Polski – mimo obaw, jak to będzie, rodzina i znajomi przyjęli mnie z otwartymi rękami – i niemal od razu dostałem kolejną pracę: pilota wycieczek, rezydującego w Chorwacji. Świetny klimat, wciąż nowi ludzie, zwiedzanie, a do tego dobre pieniądze.

To było jak przeskok z piekła do raju.

Po niespełna dwóch latach nie tylko spłaciłem długi, które ciągnęły się za mną od Indii, ale byłem też w stanie coś odłożyć. Najważniejsze jednak, że znowu mogłem marzyć pełną gębą. I wymyśliłem sobie, że pojedę drogą lądową do Australii.

W podróż wyruszyłem w listopadzie 2001 roku, a już w lutym spałem pod niesamowitym czerwonym monolitem Uluru. Raptem trzeciej nocy spędzonej w tym niezwykłym kraju! O tak, marzenia się spełniały, a ja z powrotem nabierałem pewności siebie.

Australia przypadła mi do gustu i to od razu. Spodobało mi się w niej właściwie wszystko. Przyroda oraz perfekcyjny klimat – to po pierwsze. Słońce, ciepło, ale nie za gorąco, łagodne zimy. Po drugie – warunki ekonomiczne. Choć Sydney uchodzi za jedno z najdroższych miast świata, mnie za najniższą krajową było stać na beztroskie życie. I wreszcie po trzecie, ale kto wie, czy nie najważniejsze – ludzie. Mili, pomocni, wyluzowani, weseli. Błyskawicznie przekonałem się, że ich słynne *No worries* to bynajmniej nie puste słowa. Wy-

starczyło, że tylko stanąłem na ulicy z plecakiem, a jakiś kierowca, choć był na odległym pasie, widząc moje zmagania z mapą od razu zatrzymał się i zapytał, jak mi pomóc. Wstrzymał tym ruch, więc tuż za nim na jezdni ustawił się sznur samochodów. O dziwo jednak klaksony wcale nie poszły w ruch i nikt się nie gorączkował.

Czy to już wtedy po raz pierwszy pomyślałem, że Australia jest mi pisana?

Następny rok upłynął bez większych zmartwień. Mieszkałem w Sydney, pracowałem, zwiedzałem, zacząłem też kolejne studia (turystykę i informatykę na Academies Australasia). Byłem szczęśliwy. Pochłaniała mnie codzienność, a od pewnego momentu również przygotowania do następnej wyprawy – planowałem bowiem przemierzyć obie Ameryki z Ziemi Ognistej aż na Alaskę, nie korzystając przy tym z samolotu. Innymi słowy: miałem co robić, a życie nareszcie układało mi się tak jak chciałem.

Sprawy skomplikowała dopiero Magda, moja siostra.

Podobnie jak ja mieszkała wtedy w Sydney (przyleciała kilka miesięcy przede mną) i nie byłoby z tym żadnego problemu, gdyby nie to, że któregoś dnia wpadła na pomysł, by zaprosić do Australii swoją koleżankę. Ewelinę poznałem już co prawda jakieś dwa lata wcześniej, ale wtedy, na imprezie dla pilotów zagranicznych wycieczek, nie zamieniłem z nią choćby jednego zdania.

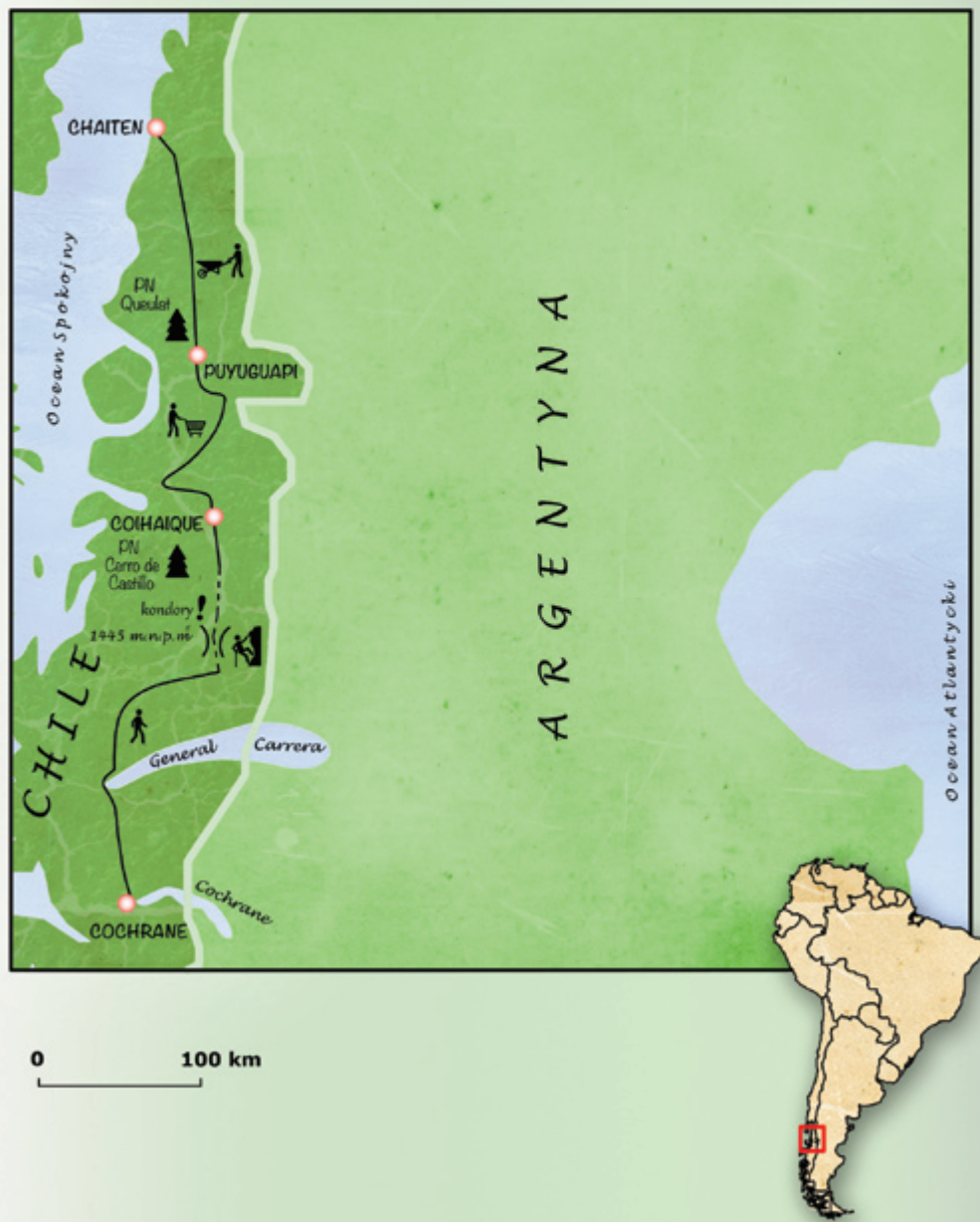
Jak łatwo się domyślić, teraz potoczyło się to nieco inaczej.

I to był kłopot.

Bo ja przecież miałem plany. A w nich – ani odrobiny miejsca na stały związek. Właśnie skończyłem dwadzieścia osiem lat, trochę zaoszczędziłem i czułem – nie miałem co do tego żadnych wątpliwości – że świat stoi przede mną otworem i na mnie czeka. Stabilizacja? O, nie: Ameryka! Chciałem ją przejechać z południa na północ i przeżyć kolejną przygodę życia, a nie pakować się w jakieś uczucia i w jakąś miłość.

Rozstałem się z Eweliną i wyjechałem.

Etap 6
6.03-27.03.2013



Świr na Carretera Austral

Etap 6. Chile

Cochrane – Chaiten | 761 km | 22 dni

pieszo, wspinając się, pchając wózek sklepowy, pchając taczkę

Wyobraźcie sobie taką scenę: pusta asfaltowa droga wysoko w górach, na razie jeszcze niczego nie widać, tylko słysząc – hałas, coś jak szuranie po podłodze, tyle że głośniejszy, do tego od czasu do czasu jakieś pobrzękiwanie i stukot. Niesie się, coraz wyraźniej. Gdy dochodzi już z bardzo bliska, nagle zza zakrętu wyłania się – uwaga! to nie są żarty – trzydziestoosmioletni facet zwisający na sklepowym wózku, jadący na nim w dół w szalonym tempie. Gdy znosi go na pobocze, odbija się nogami i koryguje trasę (buty służą mu nie tylko za ster, ale i – kiedy trzeba – za hamulce), w koszu przed sobą ma plecak, na nim dmuchaną żółtą kaczuszkę, a na twarzy szalony uśmiech.

To właśnie ja.

Cokolwiek byście teraz o mnie nie pomyśleli – bawiłem się doskonale.

Już wyjaśniam.

Po opuszczeniu Cochrane, gdzie zrobiłem sobie dzień przerwy (zeszło: jadłem, wściekałem się na wolny Internet, jadłem, reperowałem swój sprzęt, jadłem, a potem jeszcze coś zjadłem), znalazłem się na słynnej Carretera Austral.

Znów w raj, i znowu w innym.



Autostrada Południowa to niezwykle trudna i kosztowna inwestycja realizowana od połowy lat siedemdziesiątych XX wieku. Droga przebiega w większości przez bardzo słabo zaludnione obszary (znajdujące się przy niej wioski oddalone są od siebie nawet o kilkadziesiąt kilometrów, a największe miasto na trasie liczy niespełna pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców), łączy południowe Chile ze środkową częścią kraju i położona jest w naprawdę malowniczej scenerii. Maszerowałem nią, było pięknie, ale jak długo można tylko podziwiać krajobrazy? Ruch był niewielki, nawet w porze szczytu mijało mnie raptem kilkanaście samochodów na godzinę, uznałem więc, że muszę sobie jakoś uatrakcyjnić spacer na własną rękę. I tak wpadłem na ten wariacki pomysł z wózkiem.

Zabrałem go z supermarketu w Coihaique. (Tak, wiem, ktoś zaraz powie, że go ukradłem. No cóż, nie zaprzeczę – faktycznie wziąłem go bez wiedzy sklepu. Czuję się winny, ale, mówiąc szczerze, śpię spokojnie, nie budząc się z wyrzutami sumienia każdej nocy. Pewnie, być może powinienem był się kogoś spytać o zgodę, ale gdybym jej nie dostał, nigdy wózkiem bym nie pojechał. Nie żałuję. Czasem warto zachować się nieszablonowo, choćby tylko po to, by później było co wspominać). Zrobiłem zakupy, zapłaciłem za nie przy kasie i wyjechałem na parking. Ochrona nie zwracała na mnie uwagi, bo zamarkowałem, że idę w stronę postoju taksówek. Gdy byłem już dość daleko, obejrzałem się jeszcze raz i ostro skręciłem. Miałem nadzieję, że za rogiem poczuje się nieco pewniej. Minąłem dwie przecznice, wyglądało na to, że nikt mnie nie goni, ale kierując się do „wylotówki” po północnej stronie miasta, musiałem jeszcze jakoś przebić się przez samo centrum. Byłem spięty. Wózek niemiłosiernie tłukł się o chodnik, każdy krawężnik i każda dziura w jezdni – a tych nie brakowało – sprawiały problem, do tego cały czas zносиło mnie w jedną stronę (zwróćcie na to uwagę, robiąc następnym razem zakupy – od razu zrozumiecie, o co mi chodzi). Pocięczałem się myślą, że z czasem nabiorę doświadczenia w kierowaniu nowym pojazdem, na razie jednak – przepychając się przez wąską i ruchliwą drogę w Coihaique – czułem się bardzo niekomfortowo.

– Grażynka! – „zatrybiłem” nagle. I, by dodać sobie animuszu, a przy okazji stać się lepiej widocznym dla poczynających sobie bezpardonowo kierowców, wyciągnąłem z plecaka swoją niedawno wskrzeszoną, zreperowaną przyjaciółkę, nadmuchałem ją i dumnie umocowałem na wózku. Była piękna. Jaskrawo-żółta. Do tak bardzo nieprzeciętnego wehikułu pasowała wręcz idealnie.

Pomału wytoczyłem się poza miasto. Po jakichś dwóch godzinach dotarłem do rozwidlenia. Mogłem teraz albo zejść na drogę szutrową – miałbym

bliżej, ale na takiej nawierzchni nie byłbym w stanie prowadzić wózka – albo nadłożyć około dziesięć kilometrów, za to sunąc nieprzerwanie po w miarę równym asfalcie. Humor mi wrócił, powoli łapałem wprawę i nie zamierzałem porzucić wózka tak szybko. Bez wahania zdecydowałem się więc na drugi wariant.

Pchałem, zjeżdżałem i – jak już wspomniałem – bawiłem się świetnie. Same plusy: tempo miałem rewelacyjne, plecak nie ciążył, a do tego kierowcy chętnie zatrzymywali się lub przynajmniej zwalniali, by pogadać i upewnić się, czy delikwenta, sunącego szosą w dół na wózku sklepowym z nadmuchaną żółtą kaczuszką, nie potrzeba aby czasem odesłać do wariatkova. Jeden z nich nawet zaprosił mnie do swojego domu.

Dość powiedzieć, że mój oryginalny środek transportu sprawdził się do tego stopnia, że zrezygnowałem z niego dopiero po czterech dniach i przejechaniu nim stu osiemdziesięciu kilometrów! A porzuciłem go i tak tylko dlatego, że po prostu skończył się asfalt. Bo układy jezdny, kierowniczy i hamulcowy (buty!) nadal działały bez zarzutu.

No tak, patenty na monotonię! Wózek sklepowy był pewnie najbardziej spektakularnym, ale przecież nie jedynym ani nawet nie pierwszym, jaki zastosowałem. Wędrując przez Carretera Austral, jeszcze na długo nim osiągnąłem Coihaique postanowiłem na przykład poćwiczyć pozytywne myślenie. Szedłem drogą z „bananem” przyklejonym na ustach, machałem, by pozdrowić każdego kierowcę (nie każdy odpowiadał, ale to już nie był mój problem), przede wszystkim zaś nie było dla mnie zdarzenia czy sytuacji, w których nie potrafiłbym dostrzec czegoś wartościowego.

Deszcz? Znakomicie! Samochody nie obsypią mnie kurzem, przejdę większy dystans, bo rzadziej będę się zatrzymywał, a do tego po jakimś czasie na pewno pojawi się „magiczne światło”, dzięki któremu zrobię lepsze zdjęcia.

Zimno? Super! Nie spoczę się, nie pokąsają mnie komary, a gdy założę na siebie więcej ubrań, plecak zrobi się znacznie lżejszy.

Gońco? Uwielbiam! Po prostu.

Zimno i deszcz równocześnie, w dodatku z wiatrem? Bardzo dobrze. O ile lepiej będzie potem smakować piękna pogoda!

Choroba (co prawda chwaliłem się już chyba, że jestem końskiego zdrowia, ale na Carretera Austral, po raz pierwszy podczas tej wyprawy, coś mnie dopadło)? Też są plusy. Skoro nie mam siły, rozbiję obóz wcześniej, nogi odpoczną.

I tak dalej.



Wyszedłem ze sklepu i przejechałem 180 km



Porzuciłem wózek, kiedy skończył się asfalt

Choć brzmi to, mam tego świadomość, dosyć naiwnie, a miejscami może nawet niedorzecznie, takie nastawienie, które niekiedy na sobie wymuszałem, pozwalało mi łatwiej znosić liczne niedogodności marszu i naprawdę czyniło go bardziej interesującym. Mało tego, „pozytywnie nakręcony” przestałem panikować i szarpać sobie nerwy nawet wtedy, gdy zdarzało mi się – tak jest, w tym nadal byłem mistrzem – zmylić trasę.

Zgubiona droga? Świetnie! Przy okazji doświadczę tego, co w innej sytuacji na pewno by mi umknęło.

I w tym akurat nie było grama przesady.

Naprawdę, czasem odnoszę wrażenie, że podróż to odzwierciedlenie życia – tego codziennego, w którym rutyna i nuda nieustannie przeplatają się z tym, czego nijak nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Gdy któregoś dnia, by jeszcze bardziej urozmaicić sobie marsz, zrobiłem wypad do parku narodowego Cerro Castillo, wydawało mi się, że wszystko mam pod kontrolą. Strażnik, którego spotkałem rano, zaprosił mnie na śniadanie, co więcej – nie chciał pieniędzy za bilet wstępu, wystarczyło zatem, żebym tylko zszedł z gór oficjalnym szlakiem, podziwiając po drodze piękne widoki.

Nic trudnego.

Jednak nawet w takich okolicznościach rzeczywistość potrafiła mnie zaskoczyć. Po półtorej godziny bezskutecznego szukania kontynuacji ścieżki w wąskiej dolinie, niezliczonych próbach odnalezienia jej to na jednym, to na drugim zboczu, pogodziłem się z faktem, że choć szlak był zaznaczony na moich starych mapach, w terenie już od dawna nie istniał.

I co teraz?

Najpierw, jak zwykle, złość i bezsilność. Ale czy po to ćwiczyłem się w pozytywnym myśleniu? Decyzja! Muszę podjąć decyzję. Tak jak w życiu – każda, choćby błędna, będzie lepsza od zaniechania.

Lecz najpierw przerwa. Przynajmniej chwila – żeby się uspokoić i złapać oddech.

W porządku, znów myślę trzeźwo.

Więc co? Wracać? Nie, tego stanowczo nie chciałem.

– Góry da się przejść, to na pewno. Strażnik przecież nie naopowiadał mi głupot, ostrzegł tylko, że szlak jest nieużywany – analizowałem. – Czasu i jedzenia mam dość. Zaryzykuję!

Ruszyłem. Wiedziałem, gdzie potrzebuję dotrzeć, i wiedziałem, że mogę to zrobić. Musiałem tylko umiejętnie czytać mapę i teren. Pomału, ale jednak się przesuwałem. Do przodu! To było dla mnie kluczowe, dodawało mi bowiem



wiary i pewności siebie (gdybym miał się cofać, pewnie znów skończyłoby się psychicznym dołkiem lub załamaniem). W taki sposób dotarłem do kanionu. Jego skalne, niemal pionowe ściany robiły przerażające wrażenie.

– Na mapie nie wyglądało to aż tak groźnie – pomyślałem.

Przez następne pół godziny w skupieniu szukałem dalszej drogi, wciąż przesuwając się wzdłuż krawędzi wąwozu, tuż nad przepaścią.

– Jest! – krzyknąłem w końcu (choć niezbyt przekonująco). Wydawało się, że dam radę, i to nawet pomimo obsypujących się spod nóg luźnych kamieni. Wspierając się na korzeniach, przynajmniej „na oko” mocnych (choć bardziej potrzebowałem, by były mocne na ręce i nogi), szedłem ostrożnie jak chyba nigdy w życiu. Bałem się, sytuacja robiła się podbramkowa i właśnie wtedy nadleciały kondory.

Dwa. Jakby specjalnie dla mnie.

Szybowały tak nisko, że gołym okiem potrafiłem dostrzec detale w ich potężnych sylwetkach i upierzeniu. Były piękne. Stałem jak oniemiały i dopiero po dłuższej chwili przypomniało mi się to, co przeczytałem w którejś z książek Tony’ego Halika: że jeśli gdzieś w pobliżu znajduje się ich gniazdo, mogą być w poważnych tarapatach. Ale te nie wyglądały, jakby chciały mi zrobić krzywdę. Czulem się bezpiecznie, zupełnie inaczej niż w roku 2004, kiedy, wędrując po bezdrzewnej pampie, musiałem raz po raz padać na ziemię, by nie oberwać szponami sokoła, agresywnie nurkującego tuż nad moją głową. Kondory wykonywały raczej lot zwiadowczy.

– O rany! A jeśli wyczuły padlinę? – pomyślałem.

To mnie zmotywowało. Może i były piękne, ale to jeszcze nie powód, bym miał wychodzić naprzeciw ich oczekiwaniom. Ja żyłem i w najbliższym czasie nie planowałem niczego zmieniać w tej kwestii. Skupiłem się jeszcze bardziej i bez choćby jednego zadraśnięcia zszedłem aż na samo dno kanionu. Wspinaczka na drugą stronę okazała się już o wiele łatwiejsza, więc po kilkudziesięciu minutach byłem zupełnie bezpieczny.

I szczęśliwy, że tego dnia znów zgubiłem drogę.

Ale moment, bo właśnie naszła mnie wątpliwość, czy aby czasem nie przesadzam? A to szarża z przełęczą na sklepowym wózku, a to kondor (nawet dwa), a wcześniej znów długie męczarnie z głodu. Czy moja podróż naprawdę składała się z samych fanfar i fajerwerków? Chyba nawet bym tego nie chciał. Codziennosc była raczej prozaiczna. Jak zatem najczęściej wyglądał dzień, który spędzałem samotnie w dzicy?

Był długi.

Pobudka jeszcze przed wschodem słońca. Od razu działanie: szybkie pakowanie i w drogę. Bez śniadania. Po godzinie lub dwóch przerwa: proteiny, orzechy, suszone owoce, baton energetyczny. I dalej na trasę. Podziwianie widoków, połykanie kilometrów, czasem zdjęcia. Kolejna przerwa – tym razem obiadowa. Choć nie zawsze, w zależności od kondycji i samopoczucia. Baton, orzechy, ewentualnie zupa instant. Byle szybko. A potem znów przed siebie. Najlepszy czas na przemyślenia, wspomnienia, marzenia oraz układanie planów (bliższych i dalszych). Radość z tego, że jestem tu, gdzie jestem. Powrót do rzeczywistości dopiero na pół godziny przed końcem marszu. I teraz obowiązkowy punkt rozkładu zajęć: panika. Bo wciąż jeszcze nie zorganizowałem sobie na wieczór wody (powód? nie chciało mi się jej dźwigać). Następnie znalezienie wody, a potem miejsca na obóz. W końcu najprzyjemniejsza chwila: decyzja – że dzisiaj będę spał właśnie tutaj. Rozbicie namiotu i wyciągnięcie śpiwora (kocham swój namiot i śpiwór; choć właściwie powinienem napisać: mój dom oraz łóżko). Na zewnątrz zmrok. Przygotowanie kolacji, najczęściej liofilizatu, i wreszcie punkt kulminacyjny: tabelki! Podsumowanie całego dnia, wszystkich szczegółów, poprzez uzupełnienie rubryk w Excelu (wiem, że niektórym może się to wydać dziwne, ale ja to po prostu uwielbiam; w dodatku nic innego mnie tak nie relaksuje) – już w śpiworze, zagryzając przy tym czekoladę. A potem jeszcze praca nad tekstem na stronę internetową, obróbka zdjęć, czasem też tłumaczenia (choć przyznam szczerze, że równie często drzemka nad smartfonem), przejrzenie map i już prawie koniec. Bo co jeszcze? Nauka hiszpańskiego, trochę muzyki i proszę – zrobiła się nam dwudziesta druga.

No a noce?

Gdy rozbiłem namiot w parku narodowym Cerro Castillo, natura dała mi wyraźny sygnał: czas się śpieszyć. Sięgnąłem po butelkę, ale coś się z nią stało. Cholera, czemu nie mogę się napić? Włączyłem latarkę i od razu wszystko stało się jasne. Lód! A niech to, wewnątrz namiotu? Spojrzałem na termometr: cztery stopnie poniżej zera. No to ładnie!

– Na zewnątrz jest pewnie z minus osiem – pomyślałem.

Co ja tu robię ze swoim lekkim i letnim sprzętem? W marcu, na południu, w Andach, w wysokich górach? To idzie zima! Najwyższa pora spać wreszcie pośladki i ruszyć ostro w stronę równika.

By podtrzymać dobre tempo, do którego przyzwyczałem się podczas szaleńczych zjazdów sklepowym wózkiem, tuż po tym, jak musiałem go porzucić (przypomnę: nawierzchnia), wpadłem na kolejny, równie dziwny, pomysł.



Laguna w parku Cerro Castillo



Na szczęście to tylko lot zwiadowczy kondorów

(Przy czym nie zrozumcie mnie źle, nie mam nic przeciwko zwykłemu chodzeniu z plecakiem, gdyby było inaczej, przecież nie zdecydowałbym się na tę wyprawę. Ale po prostu – poczułem, że skoro jest okazja do zrobienia czegoś wyjątkowego, nie powinienem jej zmarnować).

W najbliższej wiosce skierowałem się prosto do sklepu. Szybko minąłem dział spożywczy i zatrzymałem się przy regale z artykułami metalowymi. Gwoździe, drabina, piła elektryczna – skanowałem wzrokiem półkę za półką. W końcu znalazłem. Chodziło mi dokładnie o coś takiego: niebieski płaskownik! Nie pamiętam już, czy wydałem z siebie okrzyk triumfu, ale nawet jeśli nie, obsługa sklepu i tak patrzyła na mnie z przestachem. Na mnie i na Grażynkę, bo przecież nie wybrałbym się sam na zakupy. Dopiero po chwili ktoś sobie przypomniał, że kilka dni wcześniej widział mnie na drodze, jak pchałem wózek z supermarketu.

Świr z Carretera Austral. Miałem renomę!

Sława podziiała oczywiście na moją korzyść. Skoro ustaliliśmy już, kim jestem, pracownicy przestali się czemukolwiek dziwić.

– Będę potrzebował narzędzi, żeby to skrócić – powiedziałem.

Po trzydziestu minutach wychodziłem ze sklepu, pękając z dumy. Byłem tak podekscytowany, że nie mogłem się już doczekać, kiedy wreszcie przetestuję swój nowy pojazd. Przepakowałem się i od razu ruszyłem w drogę.

Tym razem pchałem przed sobą własnoręcznie zmontowaną, śliczną, niebieską taczkę.

Początki były łatwe, sprzęt sprawdzał się znakomicie, swoje robił też efekt euforii. Z upływem czasu moja ocena sytuacji ulegała stopniowej zmianie. Do tego stopnia, że po dwóch dniach marszu stwierdziłem, że jestem ni mniej, ni więcej, tylko idiotą. W dodatku idiotą z obolałymi przedramionami. Obie ręce miałem przez cały czas zajęte i, by cokolwiek zrobić – nawet tylko spojrzeć na zegarek – za każdym razem musiałem się zatrzymywać. Poza tym drgania pojazdu sprawiały, że non stop coś gubiłem, rzeczy bowiem podskakiwały i się zsuwały.

Czy to są jednak powody, by zrezygnować?

Pokombinowałem trochę z przesunięciem środka ciężkości, pochowałem manatki do większych toreb, które następnie przywiązałem do karoserii, i znów mogłem maszerować z „bananem” na ustach, jedną ręką pozdrawiając kierowców.

(Nie wiem czemu większość z nich i tak wołała mnie jednak omijać szerokim łukiem).

ETAP 6. Chile

Z taczką w rękach szalałem na Carretera Austral przez blisko tydzień, pokonując w tym czasie dokładnie dwieście dwadzieścia dwa kilometry. Zżyłem się z nią – jak z wózkiem – do tego stopnia, że gdy przyszło nam się rozstać, wcale nie było łatwo.

Ale nie miałem wyjścia.

Była już najwyższa pora, by po czasie spędzonym na wygłupach znowu nieco podnieść sobie poprzeczkę.



Mój najnowszy pojazd na Carretera Austral



Krótkie drzemka



Poza strefą komfortu

Etap 7. Chile

Chaiten – Cochamo | 290 km | 11,5 dnia

pieszo, wspinając się, dmuchanym pontonem, kajakiem morskim, rowerem

Byłem się tego odcinka i miałem rację, bo okazał się jednym z najtrudniejszych podczas wyprawy. Wędrując przez Park Pumalin, największy na świecie prywatny obszar chroniony, wciąż zadawałem sobie pytanie, gdzie jest granica, poza którą zdrowy ciąg do przygody niepostrzeżenie zmienia się w nadmierne ryzyko i narażenie życia.

Czy chciałem to sprawdzić?

Jedno wiedziałem na pewno: zbliżał się Wielki Tydzień. Naprawdę – wielki. Od dwóch nocy z nerwów nie mogłem zasnąć.

– Po co to robię? – zastanawiałem się nieustannie.

Na razie byłem w Chaiten. To dość szczególne miejsce. 2 maja 2008 roku uśpiony od dziesięciu tysięcy lat wulkan górujący nad tą – wówczas urokliwą, a dziś po prostu niewielką – wioską niespodziewanie się przebudził. Erupcja, a w konsekwencji zniszczenia były tak duże, że do swoich domów wróciło do dziś zaledwie dwadzieścia procent ewakuowanych wtedy mieszkańców. Rzeki zostały zatrute, powietrze wypełniło się popiołem, a dzieła zniszczenia dopełniła powódź. Chodziłem po ulicach, patrzyłem na wciąż zdewastowane budynki i raz po raz wdawałem się z kimś w rozmowę na temat niedawnej katastrofy. Sceneria i okoliczności raczej dołowały, zamiast dodawać energii, a ja przecież przyjechałem tu załatwiać ważne sprawy. Ważne dla mnie. Chciałem przejść przez zaczynający się tuż za Chaiten niemal dziewiczy obszar, a wciąż



nie wiedziałem, czy w ogóle jest to możliwe (nie miałem też na to pozwolenia, ale akurat tym – o czym wspominałem już wcześniej – postanowiłem się nie przejmować). Wysłałem dziesiątki maili, szukałem wskazówek i informacji, lecz najczęściej dowiadywałem się tylko, że w Parku Pumalin las jest zbyt gęsty, urwiska zbyt strome, a rzeki tak dzikie, że boją się w nich pływać nawet ryby.

Nie to chciałem przeczytać oraz usłyszeć.

Dwie osoby (tylko dwie czy aż dwie?) wyłamały się jednak z tego chóru czarnowidzów, odpisując mi, że chociaż zadanie, owszem, wydaje się ekstremalnie trudne, to jednak może być wykonalne. Nie miałem nic lepszego, więc kurczowo ucpełem się ich opinii.

W Chaiten skontaktowałem się też z Nicholasem. Poznałem go dwa miesiące wcześniej, jadąc z Santiago na południe. Był właścicielem agencji turystycznej. Zależało mi na tym, by opowiedzieć mu o moich zamiarach i w ten sposób „na żywo” skonfrontować je z opinią profesjonalisty (chciałem też mieć kogoś, kto będzie się orientował, gdzie mnie szukać, na wypadek gdyby coś mi się stało).

Nie zrozumieliśmy się, ani trochę.

Nicholas, zamiast zobaczyć na mapie mój plan, choćby rzucić na niego okiem, zaczął od razu obmyślać dla mnie nowy scenariusz, uwzględniający – między innymi – sprowadzenie kajaków przez specjalistyczną firmę, słono liczącą sobie za taką usługę. Podziękowałem mu za troskę, ale pieniądze wolałem wydać na maczetę. Poza tym odebrałem jeszcze dość nietypowy „zrzut” jedzenia, w którym oprócz prowiantu znajdowały się dmuchany ponton i wiosło, a także wymieniłem maile z Robertem Catalanem – kajakarzem, który miał mi pomóc w realizacji następnego odcinka – ustalając z nim, kiedy i gdzie się spotkamy, gdy już sobie poradzę (poradzę?) z pierwszym fragmentem.

Opuściłem wioskę i obrałem kierunek na wulkan Chaiten. Bałem się. Byłem daleko poza strefą swojego komfortu. Paradoksalnie jednak, gdy tylko wszedłem do lasu, paraliżujący mnie od dwóch dni strach ustąpił. Co to było? Poczułem się pewniej, serce wróciło z przełyku na swoje miejsce, a ja skupiłem się na tym, by po prostu działać.

Wielki Czwartek spędziłem nad rzeką. Najadłem się na zapas, poszedłem ścieżką na punkt widokowy wulkanu Michinmahuida i w ten sposób dotarłem aż pod lodowiec, przy którym kończy się oficjalny szlak trekkingowy. Rozejrzałem się po okolicy. Wcale nie wyglądało to beznadziejnie. Przed sobą miałem bezdrzewne, pagórkowate pola, poprzecinane lodowcowymi strumykami. Czego się tu obawiać? Ruszyłem wzdłuż jednego z potoków, ale ponieważ cały

czas skręcał na zachód, a ja potrzebowałem iść w kierunku wschodnim, szybko go porzuciłem. Wszedłem w las i już godzinę później zrozumiałem, czemu tak wiele osób odradzało mi tę przygodę. Gęste poszycie, pionowe klify, rwące rzeki, bagna, zimno, mokro, kłujące paprocie, bambusowe zapory, spróchniałe kłody i zapadliska (a na pewno o czymś jeszcze zapomniałem). Spodziewałem się trudności, ale lekcję pokory dostałem już na dzień dobry. W ciągu pierwszej godziny marszu – choć powinienem raczej napisać: szarpaniny z maczetą między krzakami – pokonałem całe trzysta metrów. Zabójcze tempo! Stałem, kompletnie przemoczony, i zacząłem się zastanawiać, co dalej.

A może to jednak pesymiści mieli rację?

Zajrzałem do plecaka. Trasę newralgicznego odcinka obliczyłem na trzy dni marszu, a jedzenia miałem ze sobą na dwa dni więcej. Jeszcze nie teraz! Fakt, jest cholernie ciężko, ale wycofam się dopiero wtedy, gdy będę miał absolutną pewność, że zapasy wyczerpią mi się, nim dotrę do celu.

Las pachniał wspaniale. Oparłem się o potężne drzewo, wziąłem głęboki oddech i ruszyłem dalej.

Z każdym metrem nabierałem doświadczenia. Uczyłem się, jak czytać teren, już wiedziałem, że niektóre przeszkody lepiej jest obejść niż pchać się wprost przez nie. Szedłem rozsądniej, a dzięki temu szybciej (kto się śpieszy w Patagonii, ten traci czas). Oszczędzałem siły, podejmowałem coraz lepsze decyzje i znów się cieszyłem: że jest pięknie, że las się zmienia, że daję sobie w nim radę.

Co nie znaczy, że nagle zrobiło się łatwo. Począwszy od problemów nawigacyjnych (w gęstym lesie, w dodatku we mgle papierowa mapa staje się bezużyteczna, nie ma jej jak odnieść do otoczenia i można wtedy polegać wyłącznie na kompasie), przez pytania o to, jak nie złamać sobie nogi (jednej lub obu) na pniach nieustannie tarasujących drogę, i skąd wiedzieć, które spróchniałe kłody wytrzymają – a które nie – pod ciężarem ciała, aż po dylemat, czy warto iść korytem rzeki (czasem tak, bo omija się w ten sposób gąszcz, kłujące rośliny i strome skarpy, a czasem nie, bo woda robi się zbyt głęboka, a nurt zanadto wartki) – posuwałem się do przodu, ale wymagało to ode mnie maksymalnej koncentracji.

No i błędy – te też przecież wciąż popełniałem.

Nim dotarłem do strumienia, który według moich obliczeń miał przepływać nieopodal miejsca, w jakim akurat się znajdowałem, musiałem najpierw przemierzyć kolejny długi wąwóz, wspiąć się na skarpe, rozejrzeć się dookoła, zejść, znowu wejść, przedrzyć się przez następną górę, ominąć klif, przetargać

ciało przez krzaki i dopiero wtedy mogłem zacząć szukać właściwego żlebu. W dodatku, jak zorientowałem się w pewnym momencie, zgubiłem gdzieś przyczepioną z boku plecaka karimatę. Jasny szlag! A podobno akcja z GPS-em miała mnie czegoś nauczyć.

– Znajdę ją – powiedziałem sobie. – Nie odpuszczę.

Ochota do poszukiwań uleciała ze mnie jednak już po minucie. Musiałem wrócić do punktu wyjścia, bo nijak nie byłem w stanie odnaleźć swych śladów i rozpoznać drogi, którą szedłem przecież dopiero przed chwilą. Gęsty las okazał się niewzruszony, a ja odtąd w namiocie rozkładałem do spania ponton, który – wbrew pozorom – całkiem niezłe sprawdził się jako materac.

Tak, wiem, że to może brzmieć specyficznie, z drugiej strony jednak, jeśli weźmiemy pod uwagę pogodę, ponton na miejscu łóżka wcale nie pasował tutaj najgorzej. Nie w Parku Pumalin! Padało niemal ciągle, znajdowałem się w końcu w jednym z najbardziej deszczowych rejonów Chile, i – mimo kurtki przeciwdeszczowej – byłem przemoczony od świtu do nocy (ubranie do spania skrzętnie przechowywałem w worku wodoodpornym). Przy czym zdecydowanie najgorsze i najtrudniejsze były poranki, kiedy musiałem wygrzebać się z ciepłego śpiwora, zdjąć z siebie suche ciuchy i założyć mokre. Nie cierpiałem tego.

No tak, ale pod tym względem chyba nie byłem zbyt oryginalny.

Na zmaganiach w terenie minęły mi cały Wielki Piątek i Wielka Sobota. Wywróciłem się niezliczoną ilość razy, złamałem – na szczęście nie nogę, lecz kijek, którym się podpierałem (drugi porwała mi rzeka, musiałem więc potem pomagać sobie patykami, gdy chciałem poprawić balans ciała, sprawdzić podłoże lub zbadać głębokość wody), schowałem też do plecaka maczetę, nie zamierzałem bowiem przy kolejnym upadku spektakularnie nadziać się na jej ostrze. Ponadto wiedziałem już, że nie dam rady dotrzymać terminu, który uzgodniłem z Robertem, znalazłem zatem trochę otwartej przestrzeni i uruchomiłem telefon satelitarny, by go o tym powiadomić. Udało się, chociaż jakość połączenia (plus mój hiszpański) zadania nam nie ułatwiały.

Następny poranek miał być wyjątkowy. Wielkanocny.

Las lasem, wilgoć wilgocią, ale nie zamierzałem rezygnować z tradycji tylko dlatego, że na świąteczne śniadanie musiałem założyć mokre ubranie. Jajka były co prawda czekoladowe i niepoświęcone, ale obiecałem sobie, że tym razem nie będę drobiazgowy – kształt się zgadzał. Zjadłem i od razu ruszyłem w drogę, żeby się rozgrzać. Po kilku krokach na ramieniu poczułem swędzenie. Zapiękło. Nagle.

– O cholera!



Rzeka – inny stopień trudności



Zawrotna prędkość 300 m/godz. w Parku Pumalin



Coś mnie ugryzło. Za chwilę znowu.

– Szlag!

W ułamku sekundy zrzuciłem z siebie pająka, ale poleciał tak niefortunnie, że spadł prosto na mój nadgarstek i ugryzł mnie po raz trzeci.

Ból był niewielki. Co z tego, skoro wcale mnie to nie uspokajało. Nie miałem pojęcia, co mnie użarło, ale cokolwiek to było, gdyby mój stan się pogorszył, nie mogłem liczyć właściwie na żadną pomoc. Błyskawicznie zażyłem tabletkę antyhistaminową. Zdawałem sobie sprawę, że w ten sposób nie zneutralizuję jadu, chciałem mieć jednak poczucie, że w tej potencjalnie beznadziejnej sytuacji w ogóle coś robię.

– Rzeka – pomyślałem.

Muszę jak najprędzej dotrzeć do jakiejś rzeki, żeby w razie czego połączyć się z kimś przez telefon satelitarny. Szansa, że zostanę w porę odnaleziony, byłaby wówczas wciąż nikła, ale mimo wszystko większa od zera. Ruszyłem, oczekując, że za chwilę ściemni mi się przed oczami i zacznę słabnąć, szło mi się jednak całkiem dziarsko. Trochę się uspokoiłem i jeszcze raz dokładnie przyjrzałem się ukąszeniom.

– W Patagonii żyją tylko dwa gatunki pajaków, które są groźne dla człowieka – analizowałem. – To, co z siebie zrzuciłem, na pewno nie było czarną wdową. Więc dobrze. Ale jak wygląda ten drugi? Ślad zostawił pojedynczy (choć w trzech miejscach), a nie podwójny, jak jadowite gatunki, które znam z Australii. Czyli raz jeszcze – punkt dla mnie.

Byłem już prawie zupełnie wyluzowany. W dodatku, pomyślałem, ten pajak musiał spaść na mnie wtedy, kiedy zahaczyłem o pajęczynę. Rozpiął ją na gałęziach, a nie blisko ziemi – jad gatunków polujących w ten sposób jest mniej toksyczny.

– Będę żył! – uznałem jednoznacznie. I znowu miałem święteczny nastrój.

(Co ciekawe, oprócz wielkanocnego zajączka, to znaczy pajączka, przez pierwsze dni, jakie spędziłem w Parku Pumalin, nie spotkałem żadnego zwierzęcia. Las był zupełnie cichy i pusty. Mało tego – nie natrafiłem nigdzie nawet na zwierzęce odchody).

Choć nie potrzebowałem już dzwonić po pomoc, pod koniec dnia i tak dotarłem do rzeki. Znowu otwarta przestrzeń! Ucieszyłem się co najmniej jakbym otrzymał długo wyczekiwany święteczny prezent. Rio Renihue wyglądała wspaniale. Szeroka, zajmująca niemal całe dno rozłożystej doliny, z kamienistymi plażami i brzegami zarośniętymi intensywnie zieloną roślinnością. A przy tym płytka i niezbyt porywista. Kusiała. Odkąd znalazłem się w lesie, maszero-

wałem w tempie średnio zaledwie jedenastu kilometrów na dobę! Miałem już dość nieustannego przedzierania się przez zarośla.

A gdyby tak spłynąć?

Mój ponton nie był co prawda przystosowany do pływania nim po górskich rzekach, miał mi służyć (i służył) raczej do tego, bym z jego pomocą rzeki przekraczał, ale przecież już raz rozszerzyłem jego zastosowanie (przypomnę: używałem go jako łóżka). Według wskazań zarówno mapy, jak i GPS-a znajdowałem się na wysokości zaledwie szesnastu metrów nad poziomem morza, a do ujścia rzeki do fiordu miałem w linii prostej mniej więcej cztery kilometry.

– Przecież to nie będzie rafting, nic mi nie grozi – przekonywałem sam siebie. I postanowiłem spróbować. Żyłką wędkarską przywiązałem do pontonu bagaż, wiosło i siebie, z tyłu ulokowałem plecak i wykonałem ruch, by się odbić. Niestety, rzeka była tak płytka, że od razu zaryłem o kamienie. Wystawiłem nogi za burtę i spróbowałem znowu. Lepiej. Nagle, zupełnie niespodziewanie, nurt mnie porwał. Obróciło mnie, fale zakotłowały, a do środka pontonu wlała się woda.

– Aj! – krzyknąłem. Uderzyłem o kamień. Wystraszyłem się, płynąłem bowiem o wiele za szybko, w dodatku nie mając nad pontonem żadnej kontroli. Ale trwało to tylko chwilę. Trochę nerwów i wszystko wróciło do normy, choć nie było w tym mojej zasługi. Po prostu: nurt zwolnił. Podpłynąłem do brzegu, żeby ochłoniąć i wylać wodę. Była lodowata. Rozejrzałem się, szukając alternatywnego przejścia brzegiem, ale gęste chaszczki wyglądały bardzo niechętnie.

– Bez przesady, nie było tak źle – pomyślałem. – A poza tym jest płytko.

Wróciłem na rzekę.

Płynąłem, wydawało mi się, że panuję nad sytuacją, ale wystarczył moment i powtórzyła się sytuacja sprzed paru minut: nurt mnie porwał, obrócił, a następnie wyrzucił w spokojniejsze miejsce. Z każdym metrem radziłem sobie jednak coraz lepiej. Potrafiłem już omijać większe kipy i progi, manewrując tak, by kierować się na łatwiejsze odcinki. Naraz znowu – obrót, fala, woda w środku, a ja za burtą. Jakoś wstałem, chwyciłem ponton i jeszcze raz zaciągnąłem go do brzegu.

– I co dalej? – pytałem sam siebie.

Dostałem już od rzeki dwa ostrzeżenia. Czy to aby nie czas, by wreszcie wyciągnąć z tego jakieś wnioski?

A niby jakie? Poprawiłem bagaż i zwodowałem ponton po raz kolejny.



Poszło lepiej, już bez spektakularnych zwrotów, lecz po trzech godzinach intensywnych zmagani z wodą i tak byłem skrajnie zmęczony, zmoczony i – to przede wszystkim – zmarznięty. Nie chciałem ryzykować hipotermii, więc chociaż było jeszcze dość wcześnie, zdecydowałem, że na dzisiaj koniec. Założyłem obóz na bezdrzewnej, płaskiej polanie nieopodal brzegu. Co za komfort! Znowu mogłem po prostu rozbić namiot, bez konieczności machania maczetą, by najpierw wyrzeć naturze dla siebie trochę miejsca.

Rano pogoda była piękna. Lany poniedziałek, a tu wreszcie nie pada! Czy powinno było mi to dać do myślenia?

Spakowałem się i po chwili zastanowienia uznałem, że dziś też popłynę. Będzie szybciej i o ile wygodniej – bez przedzierania się przez te nieszczęsne zarośla.

– Jest płytko – powtarzałem sobie jak zaklęcie. – Nic nadzwyczajnego się nie wydarzy.

Pół godziny później usłyszałem ciszę.

Na razie nie myślałem o tym, co się stało. Byłem pod powierzchnią. Złapałem gałąź, dźwięki wciąż dochodziły do mnie przytłumione, jakby z daleka. Łyknąłem wody i spróbowałem wynurzyć głowę. Znów ten hałas! Ze wszystkich stron spadł na mnie huk spienionej wody, rozbijającej się z impetem o olbrzymi, zwalony pień zagradzający dwie trzecie szerokości rzeki. To działało jak w jakimś szalonym filmie. Silny nurt, jeszcze szybszy w zwężonym przez drzewo przepływie, najpierw docisnął ponton do konara, potem omal go pod niego nie wciągnął, wreszcie wyrzucił mnie poza burtę, a teraz porywał, wraz z wszystkim, do czego wcześniej się przywiązałem. W końcu węzeł na mocnej wędkarskiej żyłce nie wytrzymał. Byłem wolny, ale nie o taką wolność mi chodziło. Wdrapałem się na kłodę i zobaczyłem, jak moja dmuchana łódka w ekspresowym tempie znika gdzieś za zakrętem.

Jedzenie, namiot, ubrania, telefon satelitarny, paszport, pieniądze. Wszystko odpląnęło. Zostałem w przemoczonym do cna podkoszulku i w kurtce przeciwdeszczowej z GPS-em w kieszeni. Na środku rzeki. W miejscu, w którym od ponad pół tygodnia nie spotkałem nie tylko żadnego człowieka, ale i jakiegokolwiek ludzkiego wytworu.

Koniec podróży.

Chyba że odnajdę ponton, zanim nurt zniesie go wprost do morza.

I pomyśleć, że nie dalej niż godzinę temu cieszyłem się, że jestem już tak blisko ujścia!

Nie miałem jednak czasu, żeby się obwiniać ani wyrzucać sobie głupotę. Myślałem o tym, że jeśli nie uda mi się znaleźć namiotu przed zmrokiem, i tak będę musiał zorganizować sobie jakieś ciepłe i suche schronienie na noc. W przeciwnym razie czeka mnie hipotermia.

– Gdzie będę spał?

Do głowy nie przychodziło mi nic sensownego. Na razie zaasekurowałem się gałęziami. Dotarłem do nieco spokojniejszego fragmentu rzeki, kawałek się cofnąłem i, brnąc w wodzie po pas, doczłapałem do brzegu. Zacząłem biec. Od razu zrobiło mi się cieplej, ale – jak na złość – raz po raz musiałem się zatrzymywać. Miejscami było stromo, wspinałem się więc na skarpy, niektórych przeszkód nie dało się zaś ominąć inaczej niż lasem. A ja przecież właśnie straciłem maczetę.

Po godzinie forsownego marszobiegu zobaczyłem, że coś w oddali specyficznie odbija światło. Kamień? Rzuciłem się sprintem. Biegłem jak opętany, a serce waliło mi z przejęciem. Jeszcze chwila i byłem tak blisko, że nie mogłem już mieć wątpliwości: – Ponton!

Przypomniał mi się ten moment z początku wyprawy, kiedy, niedługo po tym jak zgubiłem GPS-a, „cudownie odnalazłem” namiot. Teraz byłem jednak o niebo szczęśliwszy. Co za śmigus-dyngus!

– Tylko czy w środku jest plecak?

Długo się nie namyślając, wszedłem do wody – moja dmuchana łódka znajdowała się oczywiście na przeciwnym brzegu – i przepłynąłem wpływ na drugą stronę.

Był! Wszystko na swoim miejscu.

Ponton ani nie wpadł do morza, ani się nie przebił, ani nawet nie wyrzucił, co mogłoby sprawić, że straciłbym cały dobytek.

To się nazywa mieć więcej szczęścia niż rozumu.

(Swoją drogą, to nie był mój pierwszy raz. To znaczy: nie pierwszy raz zachowałem się tak skrajnie nieodpowiedzialnie na wodzie. Opowiadam o tym ku przestrodze. Innym. Bo sam jestem pod tym względem recydywistą i chyba już nie zmadrzeję. W 2007 roku, gdy wraz z Eweliną znaleźliśmy się w Republice Południowej Afryki, ulegliśmy namowom właściciela hostelu i wybraliśmy się w rejs kajakiem na otwarty ocean. Bez choćby elementarnej doświadczenia! Miały być wieloryby, z bliska – to nas przekonało. Morze było wzburzone, musieliśmy więc zdrowo wiosłować, by przełamać fale. Po godzinie siły zaczęły nas opuszczać. W dodatku mieliśmy pecha, bo choć False Bay słynie z wielorybów, akurat tego dnia nie widzieliśmy żadnego. Zawró-

ciliśmy. Płynięcie z falą, w kierunku brzegu, było jednak o wiele trudniejsze. Wyrzuciło nas, oboje wpadliśmy do wody, a za chwilę fale wyrwały nam kajak. Co prawda w kamizelkach ratunkowych, ale źle zawiązanych, co ograniczało nam możliwość ruchów, znaleźliśmy się zupełnie sami w odległości kilkuset metrów od brzegu (ledwo widzieliśmy plażę), zdani wyłącznie na łaskę oceanu. Dryfowaliśmy. Gdy o tym pomyślę, jeszcze dziś ciarki przechodzą mi po plecach. Bo pamiętam to doskonale: jedną ręką kurczowo przytrzymywałem kamizelkę, drugą – wrywającą mi się wiosła. Gdy znajdowałem się w siodle fali, widziałem wyłącznie morską otchłań; kiedy wyrzucało mnie na grzbiet, dostrzegałem Ewelinę, tak jak ja bezwolnie unoszoną przez żywioł, tyle tylko, że już nieco bliżej brzegu. W dodatku to miejsce, False Bay! Słynne nie tylko z wielorybów, ale i z wielkiej ilości rekinów (żarłaczy białych). A jednak – po dwudziestu, a może trzydziestu minutach, ocean wypłuł nas na brzeg, zmarniętych i oszołomionych, ale całych. Wieczorem tamtego dnia – chyba na równi z emocji, co z przeziębienia – miałem czterdzieści stopni gorączki).

Ale wróćmy do Chile, rok 2013. Wysuszyłem rzeczy, trochę odsapnąłem i ruszyłem dalej. Miałem już dość Rio Renihue, więc chociaż droga przy brzegu wydawała się teraz stosunkowo łatwa, wolałem być jak najdalej od rzeki. Wbiłem się w las. Tym razem było płasko, ale za to gęsto jak nigdzie wcześniej. Aż nie do uwierzenia. Kłody, ostre kolce i liany, podłoże, na którym nijak nie można polegać, maczeta w ciągłym ruchu i przechodzenie przez pnie na czworakach. W ciągu dwóch godzin przemieściłem się o kilometr! Miałem dosyć. Byłem tak zmęczony, że prawie zapomniałem o niedawnym incydencie z pontonem. Marzyłem wyłącznie o tym, by las choć na chwilę mi odpuścił.

Kilka kolejnych pociągnięć maczeta i naraz zrobiło się jaśniej.

– Mam zwidy? Nie, naprawdę coś się zmieniło.

Machnąłem jeszcze parę razy i – tak jest! – moim oczom ukazał się cudowny widok: otwarta przestrzeń. I to jaka!



Korytem rzeki idzie się znacznie łatwiej



Jeszcze nie wiedziałem, co czeka na mnie za zakrętem. Dmuchanym pontonem po Rio Renihue

Etap 11
3.06-29.06.2013



Miesiąc z Polaco loco

Etap 11. Chile, Boliwia

San Pedro de Atacama – Sabaya | 612 km | 26,5 dnia

ciągnąc wózek pustynny

Cztery miesiące minęły tak szybko. A może raczej dłużyły się w nieskończoność? Już sama nie wiem, nie potrafię się skupić. Siedzę w minibusie pełnym turystów i za chwilę zobaczę Michałka. Nie mogłam wytrzymać i o tym, po co tu jestem, opowiedziałam współpasażerom. O rany! Co ja zrobiłam? Mam wrażenie, że zachód słońca w Księżycowej Dolinie nikogo już nie obchodzi – zamiast tego każdy wypatruje mojego męża.

Nagle ktoś woła:

– Polaco loco!

Bus staje, kierowca otwiera drzwi, ludzie biegną. Ej, zaraz, to mój mąż! Z trudem przepycham się do wyjścia. Patrzę: Michał! Jeszcze kilka kroków i jestem w jego ramionach. Wszyscy biją nam brawo i robią zdjęcia. Tego wieczoru jesteśmy największymi gwiazdami Valle de la Luna.

Kilka następnych dni spędzamy w San Pedro de Atacama. Cieszymy się sobą i jest nam razem naprawdę dobrze. Szykujemy się też do dalszej drogi, bo – właśnie tak! ależ jestem tym podekscytowana – następny etap wielkiej wyprawy Michała przejdziemy wspólnie. Kiedy wózek jest już przepakowany i gotowy, mój mąż rusza nim w stronę granicy z Boliwią. Na razie sam, do podejścia ma dwa tysiące metrów pod górę, które ja, żeby go nie spowalniać, zamierzam pokonać samochodem. Nazajutrz wsiadam do jeepa i proszę kierowcę, by się zatrzymał, kiedy zobaczy kogoś zaprzęgniętego w wózek z ułożoną na nim przekłutą (znowu!) żółtą kaczuszką.



Trochę się dziwię, że facet nie bierze mnie za wariatkę.

Na przełęcz docieram akurat w momencie, gdy trwa na niej akcja ratowania rowerzysty, który przegrał z chorobą wysokościową. Podają mu tlen. Mam nadzieję, że nam nikt nie będzie musiał pomagać w ten sposób. Oboje jesteśmy zaaklimatyzowani, ale tak czy siak wysiłek na czterech tysiącach metrów to nie przebieżka.

No, zobaczymy, jak to będzie.

Bo na razie jest super.

Spotykam Michała w Laguna Blanca, przy czym okazuje się, że laguna jest nie tylko biała, ale również zielona. Ruszamy wokół obu. Wycieczki, które tu przyjeżdżają, zatrzymują się nad tymi cudami natury tylko na krótki postój. Nam się nie śpieszy. Kolorowe wody towarzyszą nam w wędrówce przez wiele godzin. Wózek się telepie, wiatr dmucha, idziemy. Prosto w przestrzeń – szczęśliwi i wolni.

Wolni – bo poruszamy się wolno: z prędkością zaledwie kilku kilometrów na godzinę.

Wolni – bo jesteśmy wolni: nie potrzebujemy biletu na autobus, nie spóźnimy się na żaden pociąg, nic nie musimy. Rozbijemy namiot, gdy opadniemy z sił lub gdy zajdzie słońce, albo kiedy po prostu spodoba nam się jakieś miejsce.

Na przykład to.



Niezapomiane spotkanie w Dolinie Księżycowej

Decyzję podejmujemy bez słowa. Parkujemy wózek nad sadzawką, rozbieramy się i co sił – powietrze ma zerową temperaturę: jesteśmy na prawie czterech i pół tysiącach metrów, w dodatku jest zima! – pędzimy do rozgrzanych, naturalnych basenów termalnych. Chlup! Jak do wanny. Od razu z gorącą wodą. Ciała parują, za nami cały dzień marszu. Na noc zatrzymujemy się w refugio (to coś jak schronisko). Śpimy w łóżku – kamiennym. Nakrywam się kilkoma kocami. Temperatura spada do minus piętnastu.

Gdy się budzę, Michał stoi już przed budynkiem.

– Cholera, przecież gdzieś tutaj zaparkowałem nasz wózek.

Patrzę z niedowierzaniem.

– Co to w ogóle jest? Co się stało?

– Nie poznasz śniegu?

– Śniegu? A mówiłeś, że teraz jest pora sucha.

– Wygląda na to, że dałem się zaskoczyć. Jak drogowcy – co roku w zimie. Ale dość gadania, lepiej wstawaj i pomóż mi odkopać ten wózek.

O nie! Podobno to miał być urlop? Zrzucam z siebie ubranie i znowu zanurzam się w ciepłych źródłach. Białe płatki padają mi na głowę. Myślę:

– Czy będzie się dało jechać wózkem po śniegu? Czy Michał udźwignie sto trzydzieści kilogramów w takich warunkach? Czy ja nie zwariuję?

Ale nie ma się co martwić na zapas. Idziemy.

Krajobraz jest piękny. Rozległe doliny, cudowne światło i laguna rozlewająca się na lazurowo. Altiplano. Czujemy się znakomicie, nawet kiedy pada jak dzisiaj. Śnieg nam nie przeszkadza. No chyba że w końcu przegina i przeobraża się w ciężką zawieję. Ledwo co widać. Brniemy do przodu, nie robiąc sobie przerw, bo nawet nie ma jak usiąść, nie wspominając już o tym, by coś ugotować. Nie, to już przesada, dosyć. To będzie krótki dzień – po osiemnastu kilometrach jestem skonana, padam. Rozbijamy obóz gdzieś pośrodku nicości. Namiot szarpie się z nami, jakby i on poczuł wolność i chciał odlecieć.

– Przynajmniej wody nam nie zabraknie – pociesza mnie Michał. – Jakby co, zawsze będziemy mogli roztopić trochę śniegu.

Tylko że rano śniegu już nie ma. Za to woda w bidonie jest – jakby to powiedzieć? – twarda. Kilkanaście litrów w jednej ogromnej bryle. I jak to teraz przepuścić przez mały otwór?

Damy radę! Jak nomadowie składamy nasz dom, chowamy go na wózek, pakujemy się i ruszamy. W górę, na przełęcz, to będzie mój rekord – cztery tysiące dziewięćset czternaście metrów nad poziomem morza. Boli mnie głowa, więc żuję liście koki. Patrzę na buchające gejzery Sol de Mañana, które wyglądają trochę jak pracująca fabryka, dookoła zaś leżą porozrzucane kamienie, jakby żywcem



wyjęte z obrazów Salvadora Dali. Oddycham – oboje oddychamy – z trudem. Co kilka wdechów potrzebny nam jeden dłuższy – dla uzupełnienia tlenu. Przed oczami staje mi ten mężczyzna z przełęczy. Jeszcze nie jest z nami tak źle – jakby nie było, radzimy sobie sami.

A do tego wciąż jest przepięknie.

Gdy trasa naszej wędrowki przecina się ze szlakami jeżdżących tędy aut terenowych, kierowcy zwykle zatrzymują się, by pasażerowie mogli wysiąść i zrobić zdjęcie największej aktualnie osobliwości Atliplano, tym ciekawszej, że nie da się o niej przeczytać w przewodnikach – dwunożnemu osłowi w zaprzęgu, w dodatku mówiącemu ludzkim głosem. Gratulują nam odwagi i życzą powodzenia, a niekiedy nawet częstują słodyczami.

(Inna sprawa, że zamiecieczek jest bardzo mało. Śnieżyca sprawia, że granica Chile z Boliwią zostaje zamknięta; gdybyśmy dotarli na nią nawet tylko kilka dni później, z naszego romantycznego, sześćsetkilometrowego spaceru przez Altiplano nic by nie wyszło).

Raz na jakiś czas i ja popycham wózek, chcąc w ten sposób wesprzeć Michała. Przy naszym pojeździe mamy też zamontowaną osobną uprzęż, by na najbardziej stromych podejściach móc dźwigać wózek w tandemie. Ale szczerze? Rzadko kiedy mam na to siły. Za to Michał – obserwuję go uważnie, bo mam wrażenie, że musi się za tym kryć jakaś tajemnica. Ale nie – nikąd nie wystają z niego żadne kabelki. Baterie też nie. A niech to! Więc jednak nie jest cyborgiem? Skądże! Prawdę mówiąc – skóra i kości.

Maszerujemy już od tygodnia, kiedy wreszcie nadchodzi dzień, na który oboje czekamy.

Jest pierwsza połowa czerwca. W odstępie kilku dni przypadają dwie ważne daty. Urodziny Michała (trzydzieste ósme), a cztery dni wcześniej rocznica naszego ślubu (czwarta). Chcemy to jakoś uczcić. Przypadkowo spotkany kierowca jeepa mówi nam, że w odległości godziny drogi piechotą znajdziemy hotel. Choć w gęstym śniegu jest ledwo widoczny, trafiamy bezbłędnie. Hotel del Desierto. Pracująca w nim roześmiana załoga otwiera nam na oścież drzwi do luksusu. Michał – wraz z wózkami! – zostaje prawie wniesiony do środka, a chwilę potem na stole lądują dwa talerze gorącej zupy. Tego nam trzeba! Dostajemy zniżkę (i to dużą), jemy kolację przy świecach, a w pokoju – w ramach dodatku do gorącego prysznicza – oczekują nas dwa łabędzie, finezyjnie ułożone z ręczników.

– Patrz, jakie są podobne do Grażynki!

Następnego dnia wciąż trwa śnieżyca. Jest ciężko. Michał toruje, grzęznąc po łydki w śniegu. Z trudem pokonujemy kolejne kilometry, w dodatku gubimy dro-

gę. Przypomina mi się Patagonia, kiedy tak strasznie wiało. Najwyraźniej tego typu atrakcje pogodowe są nam pisane. Rozbijamy namiot, urządzamy w nim poprawiny (14 czerwca – urodziny mojego męża) i jakoś doczekujemy rana przy lodowatych podmuchach. Po nocy pogoda się poprawia, przynajmniej o tyle, że już nie śnieży, a my suniemy w dół – wprost na laguny, w których aż roi się od różowych flamingów. Towarzyszą nam przez kolejne dwa dni, podczas których schodzimy na wysokość trzech tysięcy siedmiuset metrów, tocząc po nierównościach terenu nasz dom na kółkach.

Gdy zbliżamy się do wioski Chiguana, już z daleka coś widać. Głazy? Przekraczamy tory kolejowe i zatrzymujemy się przy od dawna nieużywanej, zabitej deskami stacji.

– O rany, jak tu ponuro!

Dalej jest jeszcze ciekawiej: spalony cmentarz, a za nim zakręt i domy. Opuśczone. Nigdzie ani żywej duszy (martwej raczej też nie, sądząc po wyglądzie cmentarza). Tylko to warowne ogrodzenie – wygląda zastanawiająco. A jeszcze bardziej to, co znajduje się za nim.

– Nie przypomina ci to UFO? – pytam Michała.

Ze środka wychodzą w naszą stronę – nie, jednak nie kosmici – żołnierze. Cała pięcioosobowa załoga tej bazy. Bo to właśnie baza wojskowa – kilka zielonych, betonowych igloo pośrodku opuszczonej od ponad dziesięciu lat wioski widmo. Zapraszają nas do siebie, częstują zupą i okazuje się, że stacjonują tutaj – uwaga! – od wczoraj. Nic więc dziwnego, że linie i poziomicie na mapie topograficznej, którą wyjmuję Michał, niewiele im mówią. Za to nie przestają być gościnni i proponują nam nocleg na wojskowych materacach. Jest wygodnie.

– Tylko żeby ci nie przyszło do głowy robić tutaj zdjęcia – upomina mnie rano Michał. – Bądź co bądź to baza wojskowa, moglibyśmy mieć problemy.

Nic nie mówię. Na karcie mam już co najmniej trzy „szpiegowskie” fotografie całego kompleksu. Tymczasem dwaj żołnierze wieszają na sznurku do prania (czy raczej – jak się przecież właśnie okazuje – do suszenia; a suszenia czego, to już kwestia dowolna) cienko pokrojone mięso lamy albo wikunii (która, prawdę mówiąc, też wygląda jak lama, zwłaszcza oprawiona).

– Chcecie zdjęcie? – zagadują z uśmiechem.

I to tyle na temat wojskowych klauzul tajności.

Po kilku dniach lepszej pogody znów dopada nas zmora wiatru. Namiot, który wytrzymał patagońskie wichury, tym razem nie daje rady – wyginają się rurki. W dodatku na kompletnym pustkowiu nijak nie ma się gdzie schować. Chociaż zaraz. Co to?



– Ewelina, widzisz? Na horyzoncie.

Nigdy nie przypuszczałam, że kiedykolwiek tak się ucieszę na widok starej, porzuconej koparki. Nasz namiot wpasowuje się idealnie pomiędzy jej korpus a wysunięte do przodu ramię. Przez chwilę się zastanawiam, czy ktoś czasem nie zostawił jej tu specjalnie dla nas. Tak czy owak, wreszcie mamy trochę osłony przed podmuchami!

Przy czym, trzeba uczciwie przyznać, są momenty, w których wiatr się przydaje. Na przykład kiedy wieje nam w plecy i niesie w kierunku wsi Aguaquiza, nie narzekamy. Tempo mamy tak dobre, że pobudza to naszą wyobraźnię. Licytujemy się na to, ile steków zjemy w wiosce, i nie mamy wątpliwości, że w sklepie będzie ser oraz czekolada (choć tak naprawdę liczymy tylko na zupę z lamy i jaka; naprawdę, w pełni nam to wystarczy).

Gdy jesteśmy już blisko, nieopodal wzgórza obrosniętego skamieniałymi kaktusami starszy mężczyzna zachęca nas do odwiedzenia dwóch jaskiń. Dajemy mu się przekonać i nie żałujemy. W jednej podziwiamy fantastyczne wzory skamieniałego koralowca, zaś w drugiej – ślady osadnictwa na tych terenach pochodzące z czasów prekolumbijskich. Jesteśmy pod tak silnym wrażeniem tego, co widzimy, że z brakiem sera w sklepie dajemy sobie radę bez problemu (za to jest czekolada, która składa się wszak niemal wyłącznie z cukru).

Ale jaskinie to dopiero początek atrakcji.

Bo w Aguaquiza jest również hotel. I to nie byle jaki. Tani, wygodny – tak, to też ma znaczenie. Przede wszystkim jednak: cały wykonany z soli i z kaktusowego drewna! Piękny.

– Zostajemy!

(Owszem, wiedzieliśmy wcześniej, że w okolicy są takie miejsca, a nawet, by spędzić noc w jednym z nich, planowaliśmy na dwa dni odbić z trasy, ale nie spodziewaliśmy się solnego hotelu akurat dziś, w Aguaquiza. A tu proszę! Znowu coś pojawia się na naszej trasie jakby specjalnie dla nas i – w dodatku – tym razem nie jest to zdezelowana koparka).

Stone cegły układają się w półokrągłe ściany, stoły i krzesła, wykonane z płyt solnych, ozdobione są wzorzystymi tkaninami, podłoga zaś – jakby inaczej? – wysypana jest czystą solą. Mało? No to przygląda nam się jeszcze smukła, wyrzeźbiona w soli lama. Pozostałe elementy wystroju to już kaktus: barek, lampy, no i przede wszystkim łóżko. Na szczęście brakuje kolców. Nie wieje, mamy prąd i ciepłą wodę, a na kolację soczysty stek z lamy (nie, nie tej z soli). Bosko! Czujemy się, jakbyśmy weszli do rajy przez drzwi kuchenne. I to płacąc zaledwie po pięć dolarów od głowy.

Następnego dnia, wypoczęci, osiągamy Salar de Uyuni. Choć trudno w to uwierzyć, jest jeszcze lepiej niż wczoraj. Wspaniała, nieograniczona, biała przestrzeń i twarda, lśniąca, solna powierzchnia, po której wózek toczy się, że aż miło. Rozbijamy namiot w samym środku tej urzekającej nicości. Zachodzi słońce. Wszystko staje się różowe jak pupa flaminga.

Jest coraz chłodniej. Cicho. Z rozkoszą zanurzamy się w śpiworach.

– Więc jednak jest sposób, by pogodzić moje upodobanie do morza z Michałką miłością do pustyni – myślę.

Odkąd znaleźliśmy się na salarze, mam nieodparte wrażenie, że „wplynęłam na suchego przestwór oceanu”. Nic dziwnego, w końcu idziemy po dnie niegdyś potężnego akwenu. Idziemy? Płyniemy! Po tafli soli, która z niego pozostała. Jesteśmy żaglami jednego statku, wiatr nas nadyma, nasz wózek, przepraszam – okręt, sunie po falach, a moja wizja robi się tak sugestywna, że naprawdę słyszę w uszach szum wody i widzę jak horyzont kołysze się w oddali.

Nasz cel to teraz Isla de Pescada – Wyspa Ryby.

Przed dwoma tygodniami do mieszkającego tam Señora Lasarusa z jedną z wycieczek wysłałam część naszego bagażu – torbę pełną jedzenia i sprzętu potrzebnego na dalszą drogę.

– A co jeśli Señor Lasarus zjadł wszystko, co było w paczce? – żartujemy sobie beztrosko, zbliżając się późnym popołudniem do „wyspy”. Za chwilę jednak nie jest nam już do śmiechu. Z kierunku, z którego idziemy, formacja skalna bardziej przypomina jaszczurkę niż rybę. Ułożona jest głową do nas i nie wiemy, z której strony spodziewać się zabudowań.

Idziemy w lewo.

Nic.

Ani śladu ludzi. Tylko gdzieniegdzie koleiny w soli, ale też rzadkie. Wykończeni obchodzimy wyspę dookoła. I co? Wciąż nikogo, choćby jednego domu. Wyspa jest bezлюдna!

Jak to się stało? Przecież dopytywaliśmy jeszcze specjalnie w Aguaquiza, czy to aby na pewno to miejsce. No i Google Earth – też by nas zawiódł?

Michał wyjmuje mapę. Dwadzieścia dwa kilometry na południowy wschód od miejsca, w którym – nie ma się co oszukiwać – utknęliśmy, znajduje się inna „wyspa”, Isla de Incahuasi, z pełną infrastrukturą dla turystów. Czy to możliwe, żeby ktoś je pomylił? Dla kierowców te dwadzieścia dwa kilometry po płaskim salarze to żaden dystans. Ale dla nas? Do tego nijak nie jest nam to po drodze. Trzeba by iść tam i z powrotem, a to oznacza dodatkowe dwa dni marszu.



– Pójdę sama – mówię do męża. – Pogoda jest piękna, nawigacja prosta, dam sobie radę. Odbiorę torbę, wynajmę jakiś samochód i wrócę. Będzie szybciej. Ty musiałbyś w obie strony iść pieszo. Do tego z wózkiem.

Ruszam. Gdyby było tu więcej ludzi, pewnie mogłabym od razu złapać jakąś okazję, ale to zamknięcie granicy z powodu śniegu sprawiło, że ruchu nie ma. Z początku oglądam się za siebie, ale po nie więcej niż kilometrze tracę Michała z oczu. No trudno. Mam dużo czasu, przestrzeni też pod dostatkiem, myśli odpływają w nieznanne mi wcześniej rejony. Po pięciu godzinach jestem na miejscu. Szybko odnajduję Señora Lasarusa, który okazuje się uśmiechniętym i skorym do pomocy starszym panem (w każdym razie na pewno nie jest skrytożercą). Wszystko idzie sprawnie, auto też udaje mi się załatwić bez trudu i niedługo później znów jestem z Michałem.

Misja wykonana.

Wieczór spędzamy, spacerując po bezludnej wyspie, którą mamy tylko dla siebie. Fotografujemy wielkie, kilkumetrowe kaktusy, a na kolację jemy przywiezione przeze mnie jajka.

– O rany, Michał, wiesz co? Chyba zapomniałam soli.

Kolejny dzień marszu. Tym razem po chłodnej nocy i przy wietrze w twarz tempo nam spada. Powłóczymy noga za nogą, a za Michałem jeszcze koło przy kole wózek. Przyjemniej robi się dopiero, kiedy słońce w końcu przebija się przez chmury, ukazując nam nowe oblicze salaru – a myśleliśmy, że po tych kilku dniach spędzonych tutaj wiemy o nim już wszystko. Teraz cała przestrzeń pokryta jest wielokątami, których boki wyznaczają cienkie i nieregularne linie soli. Znowu jest pięknie. I znów inaczej.

Zatrzymujemy się w wiosce Llica (gdzie z jakichś powodów wszyscy się na nas gapią, a Michał „wciąga” chyba ze cztery obiady). Tu kończy się Salar de Uyuni, ale my idziemy dalej – w stronę Salar de Coipasa. Po drodze spotykamy kruche, cichego staruszka z wielkim wiechciem gałęzi na plecach.

– Patrz – mówi Michał – skąd on to niesie? Przecież tu dookoła nie ma żadnych drzew, tylko góry.

Do najbliższej wioski jest jeszcze kilka dobrych kilometrów. Oferujemy mu pomoc. Milczy. Ale też i nie protestuje, kiedy Michał przerzuca jego dwudziestokilowy toból na nasz wózek.

Nie wiemy, czego spodziewać się na Coipasa. Ludzie ostrzegają nas, że salar może być pokryty wodą. Boimy się tego, bo planujemy przejść go na skróty, a gdyby okazało się, że naprawdę jest grząsko, musielibyśmy uruchomić plan awaryjny.

Niestety: jest grząsko.

Mijamy jeszcze kilka opuszczonych wiossek, aż w końcu koła wózka zapadają się w wilgotną ziemię wymieszaną z solą Coipasy.

– Co robimy? – pytam, w równym stopniu kierując te słowa do siebie, co do Michała.

– Chodźmy spać. Przynajmniej na razie. Zobaczymy rano.

Przez pierwsze kilometry marszu po wschodzie słońca, jak wczoraj, grzęźniemy w lepkiej i słonej brei. Oboje czujemy jednak, że w tym szaleństwie jest jakaś metoda. I rzeczywiście – po dwóch godzinach wysiłku pod naszymi stopami i kołami wózka pojawia się nagle coś, o czym marzymy: twarda i równa nawierzchnia. Po błocie zostaje wyłącznie wspomnienie, cały salar cudownie skrzy, nie ma wiatru, a niebo znów jest bezchmurne. Tak, wiem, że się powtarzam, ale nic na to nie mogę poradzić: jest wspaniale.

Suniemy jak po autostradzie. I tylko myśl o tym, że wszystko, co dobre, ma swój kres, burzy spokój.

Osiągamy Coipasa, a następnie pokonujemy ostatnie wspólne trzydzieści pięć kilometrów – do Sabaya. Tutaj się rozdzielamy. Znowu. Tym razem na dłużej. Ja uciekam do cywilizacji, a Michał? Przed nim kolejne wyzwanie. Jakby mu było mało, że wędruje przez Amerykę Południową o własnych siłach, to umyślił sobie jeszcze jakoś to urozmaicić.

Patrzę przez okno. Autobus trzęsie niemiłosiernie. Widzę mojego męża, stojącego na zakurzonej ulicy z pustynnym wózkiem, który przez ostatni miesiąc był naszym domem. Żółta kaczuszka macha mi na pożegnanie. Przecieram oczy. To ten kurz. Mnóstwo kurzu. Skąd się go tutaj nagle wzięło tak dużo?



Wzniesienia pokonywaliśmy w tandemie



Flamingi nad Laguną Canapa



Laguna Colorada



W biało-czerwonych barwach, czyli „polski akcent” w Boliwii



Goly i wesoly



A wokół sama sól



W śniegu i pod wiatr nie było łatwo



Niesamowite kształty na powierzchni salaru

Etap 17
19.09-3.10.2013



Znowu na Amazonce

Etap 16 (ciąg dalszy)

Usłyszałem klakson. Dość blisko. Za blisko. Bezwiednie odbiłem w prawo, aby zostawić więcej miejsca na szosie dla nadjeżdżającego auta, i kątem oka spojrzałem przez ramię. Gdybym miał wtedy czas zastanowić się nad tym, co zobaczyłem, uznałbym chyba, że to się nie dzieje naprawdę. Wjeżdżałem wprost pod pędzącą ciężarówkę. Jej kierowca z jakiegoś powodu postanowił wyprzedzić mnie poboczem. Z prawej strony.

Zadziałałem instynktownie.

Skrzyłem w lewo, najbardziej jak mogłem, za wszelką cenę starając się utrzymać rower, na którym znajdowało się dwadzieścia kilo bagażu.

Żółta karoseria kabiny minęła mnie o centymetry.

Ale to nie był koniec. Przez dobrą (dobrą?) chwilę jechaliśmy równolegle, a ja myślałem wyłącznie o tym, co zrobić, by nie dać się wciągnąć pod koła naczepy. Nie, z tym „wyłącznie” przesadzam. Musiałem jeszcze w tym samym czasie patrzeć na drogę, pełną dziur, żwiru, kolein i błota oraz walczyć z działającą na mnie siłą odśrodkową.

Chciałem się odepchnąć od samochodu, ale bałem się, że gdy puszcze kierownicę, upadnę. A jeśli upadnę – najpewniej zginę.

Udało się, utrzymałem pion, koła przejechały tuż obok. Zobaczyłem jeszcze, że kierowca wyciąga rękę przez okno w geście przeprosin i pędzi dalej. Jak gdyby nic się nie stało.

Tak, nie stało się. Żyłem.

Jadący za mną motocykliści zaczęli coś krzyczeć i pokazywać, ale nie wiedziałem co i nawet specjalnie mnie to nie obchodziło. Nie słyszałem nic. W mojej głowie była zupełna cisza. Zsiadłem z roweru i rozejrzałem się dookoła.



Co to było?

Pomyślałem o Krzyśku i Maksie. Zwłaszcza o Maksie. I o rozmowie, którą mieliśmy z Ewelina, jeszcze zanim ruszyłem w podróż.

– Na wszelki wypadek, gdyby coś mi się stało – zacząłem wtedy, starając się zachować spokój, udając, że to kolejna wymiana technicznych uwag, co raczej z dziedziny logistyki niż emocji, ale słowa i tak z trudem przechodziły mi przez gardło.

Więc co miałem powiedzieć teraz?

Był 7 września 2013 roku. Opatrzność mnie ocaliła. Wiedziałem, że dostałem właśnie swoją drugą szansę. Na nowe życie.

Wcale jednak nie poczułem się lepiej. Kryzys nie minął, wciąż byłem zmęczony i miałem już naprawdę dość tej wyprawy. Zastanawiałem się – czemu? Wszystko, co teoretycznie najtrudniejsze, było już za mną. Bałem się dżungli, czułem dreszcze nim rozpocząłem spływ rzeką i to pozwalało mi utrzymywać wysoki poziom koncentracji oraz stały dopływ adrenaliny. A teraz? Musiałem już tylko dokończyć podróż. Rowerem, w znacznej części po asfaltowej drodze, nuda. Największym wyzwaniem, jakie mnie czekało, była kolejna przeprawa z urzędnikami, której spodziewałem się w Manaus. W jaki sposób miałem znaleźć w tym radość? W dodatku od dawna nie mogłem się porządnie wyśpać. Nocami, w stęchłym namiocie, pociłem się zamiast odpoczywać.

Ale nawet w kryzysach jest coś pozytywnego. Na przykład to, że przechodzą.

Szukając recepty na wyjście z dołka, pierwszy raz podczas wyprawy zrobiłem sobie dzień wolny w środku etapu. Nie miałem nic do załatwienia i właśnie o to chodziło. Żeby chociaż przez chwilę: nie musieć, nie robić, nie planować, nie szukać rozwiązań, nie zajmować się logistyką. Nie jechać.

Nie od razu, ale pomogło.

Znów jechałem, znów myślałem, ale stopniowo coraz bardziej skupiałem się na teraźniejszości. Na tym, że – jakby nie było – znajduję się właśnie w sercu Amazonii. Sam pośród dzikiej przyrody. Polna droga, gęsta dżungla – pięknie.

Nic się nie wydarzyło, przynajmniej na zewnątrz, a jednak nagle liście stały się zieleńsze, czerwona ziemia – czerwieńsza, a niebo bardziej błękitne. Słońce wciąż grzało bez zmiłowania, ale w końcu przypomniałem sobie, że ja przecież to lubię.

Skakały małpy, wąż uciekł mi spod roweru.

Życie.

A do tego ci ludzie, Brazylijczycy, kierujący się zasadą „co moje, to twoje”. Czy chodziło o nocleg, czy o jakąś pomoc przy rowerze, czy tylko o wodę – ani razu mi nie odmówili. Mało tego, dwukrotnie, kiedy zatrzymałem się przy drodze na odpoczynek, ktoś z okolicznych mieszkańców podszedł do mnie i poczęstował mnie obiadem.

Z powrotem umiałem się cieszyć chwilą, dopóki trwała.

(Przy czym zdarzały się też oferty pomocy, z których korzystać nie zamierzałem – nie mogłem ani nie chciałem. Chodziło o Grażynkę, a w tym przypadku nie uznawałem kompromisów. Znów przytrafiła się jej – nazwijmy to – kontuzja, kaczuska faktycznie wyglądała na zmarnowaną, ale gdy ktoś proponował mi, że może ją napompować, zawsze stanowczo odpowiadałem:

– Pod żadnym pozorem! To Grażynka. A Grażynkę mogę dmuchać tylko ja, nikt inny!).

Wspomniałem wcześniej, że podczas tego etapu – oprócz pokonania rowerem grubo ponad tysiąca kilometrów – musiałem także przekraczać rzeki, co za każdym razem wiązało się z koniecznością znalezienia kogoś, kto przetrzuci mnie na drugi brzeg bez silnika. Największą z nich była Madeira (poszło gładko: spotkałem rybaka, w lot zrozumiał, o co mi chodzi, powiosłował ze mną i po godzinie problem był z głowy).

Największą, dopóki nie dotarłem nad brzeg Amazonki.

Znów ta rzeka. Ile to już lat? Ponad dziewięć. Czas szybko płynie. Tyle się wydarzyło od tamtej nocy w hamaku. Byłem starszy, byłem innym człowiekiem, wciąż jednak miałem to samo marzenie.

Rozejrzałem się po nabrzeżu i w mig zrozumiałem, że jeśli mam znaleźć tu jakieś wiosła, to tylko pod warunkiem, że najpierw znajdę muzeum.

Nie zamierzałem się jednak poddawać i w końcu trafiłem na człowieka, który zgodził się „coś wymyślić”. Zniknął gdzieś na kilka godzin, a gdy znów się pojawił, okazało się, że przywiózł ze sobą małą drewnianą łódkę z jednym pagajem.

– Zadzwoń do mnie, jak będziesz po drugiej stronie. Powiesz mi, gdzie zostawiłeś łajbę – oświadczył, a ja nie bardzo rozumiałem, co ma na myśli.

– Nie popłyniesz ze mną?

Pokręcił głową i wręczył mi zapisany na kartce numer. Szczerze mówiąc, wybór miałem niewielki.

– No dobra, ile?

Zaśpiewał cenę, a ja z wrazenia prawie usiadłem. Widząc moją reakcję, spytał:



– A ile ty proponujesz?

Podaliśmy stawkę, o połowę mniejszą, a on, uradowany, od razu się zgodził.

– Cholera, przeplącałem! – pomyślałem, ale było już za późno na żale. – Trudno, najważniejsze, że mam czym popłynąć.

Zażądałem jeszcze, żeby w cenie dostarczył mi kamizelkę, i – nie chciałem dłużej czekać – odbiłem od brzegu.

Niepokój ogarnął mnie dopiero, gdy byłem na wodzie. W maleńkiej dłubance znalazłem się nagle sam pośrodku czegoś, co znacznie bardziej przypomina morze niż rzekę. W dodatku dostrzegłem ogromny kontenerowiec. Co prawda nie zbliżał się do mnie z prędkością taką jak ciężarówka, ale wiedziałem, że jeśli będę kontynuował w dotychczasowym tempie, nasze drogi mogą się przeciąć, a w tym przypadku nawet „minięcie się o centymetry” będzie miało tragiczny finał. Zacząłem uciekać. Po pół godziny intensywnego wiosłowania w kierunku, z którego przed chwilą przypłynąłem, uznałem, że niebezpieczeństwo jest zażegnane. Kontenerowiec też nieco odbił, ja się uspokoiłem i właśnie wtedy zorientowałem się wreszcie, w jak bardzo jestem niezwykłym miejscu.

Kawowa Rio Solimões dogania tu czarną jak smoła Rio Negro. Od tego momentu te dwie wielkie rzeki, które wspólnymi siłami tworzą Amazonkę, długi czas płyną obok siebie jednym korytem, zachowując odrębną prędkość, temperaturę i – właśnie – kolor.

W swojej łódce przepływałem dokładnie nad ich złączeniem.

Etap 17. Brazylia, Wenezuela

Manaus – Santa Elena | 1074 km | 15 dni

rowerem, na rolkach

Zbliżałem się teraz do blisko dwumilionowej metropolii położonej w samym środku największego lasu tropikalnego świata. Po tym, jak musiałem uciekać przed kontenerowcem, nurt zniósł mnie aż o sześć kilometrów poza centrum, przez chwilę wiosłowałem więc pod prąd, blisko brzegu. Męczarnia była niesamowita. A przecież pokonałem w ten sposób ledwie tysiąc metrów. Gdybym miał tak machać jeszcze przez kilkadziesiąt albo kilkaset kilometrów – no cóż, wolałem o tym nie myśleć.

Właściciel dłubanki podpłynął do mnie motorówką i zaproponował, że mnie odholuje. Podziękowałem mu, ale z oferty nie zamierzałem korzystać. Wskazałem miejsce, gdzie się spotkamy, dobiłem do niego, wyszedłem na brzeg, wyciągnąłem z canoe rower i pojechałem nim do centrum Manaus.

Byłem pełen obaw. Czekala mnie jedna z największych administracyjno-logistycznych przeszkód na trasie. W mojej głowie powstał jednak pewien podstępny plan, jak ją obejść.

Nie wspominałem dotąd, że w trakcie swojej wyprawy przez dłuższy czas „deptałem po piętach” Katharine i Davidowi Lowrie. W połowie 2012 roku para Brytyjczyków rozpoczęła realizację przedsięwzięcia, które pod wieloma względami było podobne do mojego: przez piętnaście miesięcy przemierzali Amerykę Południową z Cabo Froward nad Morze Karaibskie. Jak? Biegiem! Ciągnąc za sobą bambusowy wózek pokonali ponad dziesięć tysięcy kilometrów. Przez rzeki przeprawiali się, co prawda, korzystając z regularnych, silnikowych połączeń promowych, kilka razy przerwali też bieg na parę dni, by odpocząć (między innymi opuszczając na krótko trasę), ale dla mnie najważniejsze było to, że realizowali plan, jaki sobie założyli. Biegli, z południa na północ kontynentu, po drodze popularyzując ekologię w odwiedzanych szkołach.

Podziwiałem ich.

Byliśmy w kontakcie, dzieliliśmy się informacjami, a raz nawet – choć w końcu osobiście nigdy się nie spotkaliśmy – zostawili mi gdzieś przy drodze ukryty „skarb”: snickersa, kilka cukierków i motywujący liścik.

To właśnie z ich relacji wiedziałem, czego mniej więcej mogę się spodziewać w sprawie owego rezerwatu Indian, znajdującego się dwieście trzydzieści pięć kilometrów na północ od Manaus, przez który przebiega jedyna droga prowadząca stąd w kierunku Wenezueli. *De facto* eksterytorialna. Dave i Katherine długo starali się o zgodę na przebiegnięcie tego odcinka, za każdym razem w odpowiedzi słyszeli jednak to samo: na terenie rezerwatu nie może się zatrzymywać, ani tym bardziej nocować, nikt z zewnątrz. Anglicy proponowali nawet, że każdego wieczoru opuszczą chroniony obszar i wrócą dopiero następnego dnia, by kontynuować bieg z miejsca, w którym skończyli – przy okazji pokrywając oczywiście wszystkie koszty transportu – i to jednak nic im nie dało. W końcu odpuścili i dali się przewieźć samochodem.

Nie chciałem, by ze mną było tak samo.

Chodziło o „marne” sto dwadzieścia pięć kilometrów.

– Ludzie zrozumieją i ci wybaczą – napisał mi ktoś w komentarzu na stro-



nie internetowej, kiedy podzieliłem się informacją o tym, jaki mam problem.

Pewnie tak, ale znałem jednego, który jednak mógłby mi nie wybaczyć. Patrzył na mnie za każdym razem, gdy spoglądałem w lustro.

Nie zamierzałem rezygnować również dlatego, że wielu znajomych bardzo mnie motywowało i dodawało mi otuchy przed ostatecznym starciem z brazylijską biurokracją. Kibicowali mi również David i Katherine.

– Co by to była za przyjemność, jeśli byłoby łatwo? – napisał do mnie Brytyjczyk.

No i w dodatku: w zanadru miałem ten fortel.

By go zastosować, najpierw musiałem najeździć się rowerem po całym Manaus od biura do biura. W każdym urzędzie udawało mi się na szczęście spotkać jakąś pomocną duszę i, krok po kroku, popychałem sprawę do przodu. W ten sposób trafiłem w końcu na Vincenta. Miał otwarty umysł, był decyzyjny i, chociaż dzieliła nas bariera językowa (ja po hiszpańsku, on po portugalsku), uczepliłem się myśli, że z nim się dogadam.

Opowiedziałem mu co i dlaczego robię, czemu podróż „siłami natury” jest dla mnie tak ważna, trochę pożartowaliśmy i, kiedy atmosfera była już dostatecznie miła, przystąpiłem do natarcia: poprosiłem go o zgodę na przekroczenie rezerwatu.

Pieszko albo na rolkach.

Oczywiście odmówił.

– Nie?! Jak to? Dlaczego? – najlepiej jak potrafiłem odgrywałem zdziwionego. – Przecież swoją obecnością nie wpłynę na życie Indian.

Vincent był niewzruszony.

Jak na razie wszystko szło zgodnie z planem.

Pochyliliśmy się nad mapą, wspólnie szukając rozwiązań alternatywnych.

– Popatrz, przecież jeśli miałbym opłynąć rezerwat, musiałbym wiosłować pod prąd. To miesiąc katorżniczej pracy!

Robiłem, co w mojej mocy, by sprawić wrażenie załamane. Takiego, który w przypływie desperacji będzie gotów popełnić jakąś głupotę, na przykład wtargnie nielegalnie na teren parku i przysporzy wszystkim dookoła mnóstwo kłopotów. Nagle, wciąż wznosząc się na wyżyny aktorstwa, odegrałem scenę wpadania na genialny pomysł:

– A gdybym tak kupił rower?! – prawie krzyknąłem, nie dając po sobie poznać, że od samego początku zmierzam w naszej rozmowie do tego punktu. – Wtedy mógłbym przecież, nie zatrzymując się, przejechać przez rezerwat w ciągu jednego dnia i wszystko odbyłoby się zgodnie z procedurami.

Spojrzałem wyczekująco na Vincenta.

Błysk w oku.

Uśmiech, ożywienie, szczegóły, konkretne daty, a na koniec prośba o numer paszportu niezbędny do wydania mi pozwolenia.

Wychodząc z biura, miałem ochotę tańczyć z radości.

Wiedziałem oczywiście, że to na razie połowa sukcesu (no, może ciut więcej), bo i tak ostateczną decyzję podejmie dopiero strażnik przy bramie wjazdowej do parku, ale wyposażony w autoryzowany papier i zestaw alarmowych numerów telefonów byłem wyjątkowo dobrej myśli.

Do załatwienia pozostawało mi teraz kupienie rolek. Nie chciałem aż do samego końca wyprawy „ciąć” na rowerze, a zmiana środka lokomocji na taki, z którego jeszcze w podróży nie korzystałem, miała być dla mnie sposobem na przewyciężenie monotonii. Choć Manaus to wielkie miasto, okazało się, że znalezienie rolek w moim rozmiarze (czterdzieści pięć) samo w sobie stanowi nie lada wyczyn. W końcu trafiłem na jakiś dom towarowy poza centrum, przetestowałem kilka modeli i zdecydowałem – mając w pamięci doświadczenie z kupnem roweru w Santiago – że tym razem nie będę oszczędzał na jakości. Potem nachodziłem się jeszcze, by znaleźć odpowiednie skarpetki (wysokie i nie bawełniane), i w ostatecznym rozrachunku na trening został mi raptem jeden wieczór.

Przy czym, jeśli chodzi o rolki, to – w przeciwieństwie do, na przykład, jazdy na deskorolce – w tej dziedzinie bynajmniej nie byłem nowicjuszem.

Miałem już coś takiego na nogach. Raz. Jakieś dwadzieścia lat wcześniej.

Podczas studiów na AWF-ie uczęszczałem też na zajęcia z łyżwiarstwa. Założyłem, że obie te dyscypliny są do siebie podobne i wiele się nie pomyliłem. Z jazdą po płaskim i pod górkę poszło mi gładko. Było niemal jak z jazdą na rowerze, której nigdy się nie zapomina. W zakręty również wchodziło mi się nie najgorzej, znacznie trudniejsze było natomiast hamowanie.

Ale przecież – od czego jest Internet?!

Znalazłem na You Tube trochę filmów instruktażowych, obejrzałem je i poszedłem w teren poćwiczyć. Niedługo potem, przy niewielkiej prędkości, zatrzymywanie się piruetem udawało mi się już całkiem niezłe.

– Cholera! A co wtedy, gdy będzie z górki?

W ostatniej chwili zreflektowałem się, że zupełnie zapomniałem o technikach zjazdu. Na trening nie miałem już jednak czasu. Pozostało mi tylko doszkolić się „na sucho” z ekranu smartfona, zapamiętać jak najwięcej i liczyć



na dużo szczęścia.

Moje nowe umiejętności (no dobra, to może trochę za duże słowo) i tak miałem sprawdzić jednak dopiero za rezerwatem. Na razie głowę zaprzętały mi ważniejsze sprawy. Ruszałem na północ, by się przekonać, ile wart jest dokument, który wystawił mi Vincent, i czy będę w stanie kontynuować podróż przez Amerykę Południową bez silnika.

Wyjechałem z Manaus i od razu pożałowałem, że w swoim rowerze nie mam przerzutek. Droga była zupełnie inna niż na południu – pagórkowata i bardzo ruchliwa. Na stromych podjazdach i w temperaturze przekraczającej momentami czterdzieści stopni musiałem mozolnie pchać pojazd pod górę, byłem jednak bardzo zmotywowany.

Po dwóch dniach dotarłem do granicy rezerwatu.

Było popołudnie, właściwie zbliżał się wieczór, i pilnujący wstępu na swoje terytorium Indianie Waimiri-Atroari w ogóle nie chcieli ze mną rozmawiać. Czułem ich wrogość i to taką fundamentalną. Jakkolwiek poważnie by to nie brzmiało, nasza relacja była zdeterminowana przez historię. Chcąc nie chcąc, reprezentowałem sobą cywilizację, która w przeszłości wyrządziła im ogromną krzywdę. Nie poczuwałem się do winy, ale też rozumiałem, że oni mają prawo widzieć to nieco inaczej.

Widzieli. I dawali to odczuć.

Wcześniej, w Internecie, naczytałem się sporo relacji rowerzystów, którzy również dotarli do tego miejsca. Jednym udawało się przejechać, innym nie. Kryteria nie były jasne. Pokazałem papiery. Oznajmili, że dziś mnie nie wpuszczą i kazali przyjechać nazajutrz z samego rana. Przy bramie wjazdowej pojawiłem się więc niemal równo ze wschodem słońca. Odniosłem wrażenie, że dokumenty, o które tak zabiegałem, nie mają dla nich żadnego znaczenia. Z jakiegoś powodu, znanego – albo i nie – tylko sobie, zdecydowali po prostu, że nie będą mi przeszkadzać.

Tak czy owak – otrzymałem warunki (o negocjacjach oczywiście w ogóle nie było mowy): zakaz filmowania, zakaz robienia zdjęć, zakaz uzupełniania wody i, wreszcie, najważniejszy ze wszystkich – zakaz zatrzymywania. Do przejechania miałem sto dwadzieścia pięć kilometrów, była szósta rano. Przynajmniej od kilku tygodni marzyłem o tym, by ten poranek, gdy wreszcie dotrę do rezerwatu, wyglądał – ni mniej, ni więcej – dokładnie w ten sposób.

Nic nie wskazywało na to, bym jeszcze teraz mógł mieć jakiś problem.

Ruszyłem. Miejsce nie było przereklamowane. Droga numer sto siedemdziesiąt cztery przecinała zjawiskowy, dziewiczy obszar, w którym – poza ową

dwukierunkową szosą – nie było widać zbyt wielu śladów działalności człowieka. Gęsty las, ta zielona ściana, kuszącej swoją tajemniczością selwy, wilgoć i wrzeszczące, kolorowe papugi na drzewach.

Było jak w bajce albo jak w przygodowych książkach o dżungli. Bo to była dżungla. Choć nie miałem prawa się zatrzymać, czułem się naprawdę fenomenalnie.

Nagle – trzask!

– Jasna cholera!

Koniec?

Nie mogłem jechać.

Zsiadłem z roweru, żeby zobaczyć, co się stało. Koło było zablokowane. Złamał się bagażnik i ciężar wszystkiego, co wiozłem, osiadł na tylnej oponie.

– Proszę, tylko nie tutaj! Czemu nie sprawdziłem tego w Manaus? Zamiast bawić się w rolkarza powinienem był zrobić przegląd roweru.

Pozwoliłem sobie na chwilę paniki, uspokoiłem się i wziąłem się do roboty. Wyciągnąłem narzędzia, by jak najszybciej dokonać prowizorycznej naprawy.

Byle się trzymało.

Pracując, nieustannie myślałem o tym, co będzie jeśli „na gorącym uczynku” przyłapią mnie strażnicy parku. Jak się wytłumaczyć? Co zrobię, jeśli po prostu wpakują mnie na samochód?

Uwijałem się, dłuższą chwilę drogą szczęśliwie nic nie jechało, w końcu jednak jakieś auto niebezpiecznie zwolniło.

– Wszystko w porządku?

Zamarłem.

– Tak, oczywiście, tylko poprawiam bagaż i jadę dalej – zacząłem się tłumaczyć, chociaż w samochodzie byli tylko brazylijscy turyści.

Nie zamierzałem kusić losu o chwilę dłużej. Wsiadłem na rower i z byle jak zadrutowanym bagażnikiem „ciąłem” jak szalony, dając już sobie spokój z podziwianiem przyrody. Skupiłem się wyłącznie na pedałowaniu i dziurach w asfalcie.

O czternastej poczułem się, jakbym był w rajku.

Pokonałem ostatnią z poważnych przeszkód na mojej trasie. Od tego miejsca nic już nie zagradzało mi drogi na Punta Gallinas. W dodatku dysponowałem sporym zapasem czasu i niedawno wyszedłem z głębokiego psychicznego dołka.

Naprawdę – nie mogło być lepiej.

Teraz potrzebowałem tylko zrobić coś z nadmiarem bagażu. Jadąc na rolkach – tak jest! wcale nie zarzuciłem tego pomysłu – nie byłem w stanie tachać



ze sobą osiemnastu kilo, rower też mógłby mi zresztą trochę przeszkadzać.

Postanowiłem zastosować nową taktykę.

W pierwszym miasteczku za rezerwatem popytałem ludzi, gdzie mieszka kierowca autobusu, odnalazłem go i poprosiłem, by swoim następnym kursem przewiózł moje manatki (wraz z rowerem) do kolejnej wioski, odległej o sto trzydzieści pięć kilometrów. Umówiliśmy się, że za kilka dni odbiorę je sobie u przedstawiciela firmy, dla której pracował.

Załatwione! Uwielbiałem to – niestandardowe rozwiązania. Znowu czułem, że wiatr wieje mi w żagle.

Ponieważ noclegi w miasteczku były dość drogie, przepakowałem się i z ważącym trzy kilogramy plecakiem opuściłem je na piechotę. Prawdę mówiąc, zrobiłem to, by zachować pozory. To znaczy to, że wyruszyłem pieszo.

Nie owijając w bawełnę: wstydzilem się.

Chodziło o rolki. Wolałem je założyć, dopiero gdy nikt nie będzie patrzył.

Pierwsze ślizgi to walka z grawitacją o zachowanie równowagi (psychicznej również). W końcu jednak zyskałem pewność siebie i wszystko byłoby już w porządku, gdyby trasa wiodła tylko po płaskim albo pod górę. Ale wreszcie przyszedł też czas, żeby zjechać.

Powoli, slalomem, starając się wytracać prędkość z każdym zakrętem. Cał-

kiem nieźle.

– Ej, to jest o wiele łatwiejsze niż myślałem!

Uwierzylem jednak w swoje umiejętności zbyt szybko. Właśnie, „zbyt szybko” to idealnie pasujące tu określenie. Straciłem kontrolę i ciąłem „na krechę”, zupełnie nie mając pomysłu jak wyhamować. W końcu droga się wypłaszczyła i jakoś zwolniłem, ale kiedy niedługo później znów odstawiłem taki sam numer, trochę się przestraszyłem. Upadek bez ochraniaczy przy tej szybkości mógłby się dla mnie skończyć naprawdę kiepsko, przede wszystkim zaś nie zamierzałem wylądować pod kołami albo na masce któregoś z nadjeżdżających samochodów.

Bogu dzięki, ruch na drodze nie był zbyt duży. Jechałem lewą stroną jezdni, by być dobrze widocznym dla kierowców zbliżających się z naprzeciwka. Większość aut omijała mnie szerokim łukiem, ale czasem zdarzył się ktoś, kto nie odpuścił, przez co niekiedy musiałem uciekać na kamieniste pobocze.

Dawałem radę.

Nie było to wszystko na pewno najbezpieczniejsze, ale za to znowu zrobiło się ciekawie. 24 września przekroczyłem równik. Cieszyłem się, że dokonałem tego w tak dziwny sposób. Słońce było w zenicie, cień padał idealnie pod nogi, a ja wiedziałem, że odtąd promienie nie będą mi już grzały w twarz, ale w plecy.

Trzy dni później doznałem olśnienia.

Może nie było tak mocne, jak to sprzed dziewięciu lat na Amazonce, ale z grubsza chodziło w nim o to samo. Zwykle tak mam, że podczas jednej wyprawy nagle przychodzi mi do głowy pomysł na następną. Tymczasem w Ameryce Południowej byłem już tyle miesięcy i wciąż, gdyby ktoś zapytał mnie „Co dalej?”, nie bardzo wiedziałbym, jak odpowiedzieć. Nie martwiłem się tym, raczej skupiałem się na teraźniejszości, niemniej kiedy wreszcie się to stało, poczułem, że nastąpiło coś w rodzaju dopełnienia. Zastanawiałem się akurat, co zrobić z rołkami, gdy zakończę bieżący etap. Zwykle rozdawałem swój sprzęt, ale tym razem nie umiałem sobie wyobrazić, komu w okolicy mogłyby się przydać zużyte rolki, rozmiar – przypomnę – czterdziesty piąty. Z drugiej strony – wysłać je do Australii? A po co?

Po co?!

I już wiedziałem: Australia! Na rołkach, kajakiem, biegiem i czym tam jeszcze. Siłami natury. Skoro idzie mi to tak dobrze, czemu się zatrzymywać? Najważniejsze – pomysł – miałem już w głowie. Odtąd pozostawało tylko za-





planować szczegóły.

Na razie jednak musiałem przede wszystkim coś skończyć.

Po trzech dniach rolowania – zgodnie z umową – odebrałem swój rower. Wsiadłem na niego, ale czułem niedosyt. Na tyle duży, że gdy znalazłem się w następnej miejscowości, postanowiłem znowu nadać sprzęt autobusem i założyć rolki. Bolały mnie stopy, asfalt momentami był tragicznej jakości, ale ta zwiariowana jazda podobała mi się na tyle, że pokonałem w ten sposób kolejne sto pięćdziesiąt kilometrów. Pod koniec kółka były już tak zużyte, że zjazdy przestały być niebezpieczne, za to szusowanie po płaskim zaczęło mnie kosztować sporo wysiłku.

Na rower przesiadłem się w końcu na sto kilometrów przed Boa Vista, ostatnim dużym ośrodkiem w Brazylii przed granicą z Wenezuelą. Nie żałowałem, natężenie ruchu wyraźnie wzrosło i jazda na rolkach w takich warunkach byłaby uciążliwa.

Gdy zbliżałem się do miasta, żona przysłała mi esemesa: w Boa Vista czekała na mnie gościna za pośrednictwem couchsurfingu. Ucieszyłem się, bo zawsze chętnie korzystam z tej formy zakwaterowania. W Sydney, razem z Ewelina, często przyjmujemy u siebie gości (daje nam to radość, a równocześnie – niejako symbolicznie – spłacamy w ten sposób dług wdzięczności wobec wszystkich, którzy okazali nam bezinteresowną pomoc w czasie naszych licznych podróży), tymczasem w Ameryce Południowej od początku wyprawy, mimo ponad trzydziestu złożonych przeze mnie podań, otrzymałem dotąd tylko dwie pozytywne odpowiedzi od gospodarzy. A przecież mój profil na stronie couchsurfing.org jest bardzo dobry. Nie wiedziałem, dlaczego w Chile, Argentynie oraz Boliwii było pod tym względem tak kiepsko. Może gdybym był samotnie podróżującą blondynką, wyglądałoby to lepiej? Niestety, „na wabia” mogłem wystawić tylko Grażynkę.

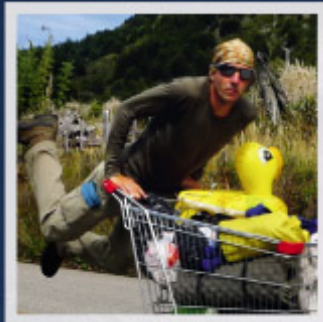
Gościna w dobrych warunkach i z dostępem do Internetu pozwoliła mi się trochę przeorganizować oraz przemyśleć kilka koncepcji dotyczących dwóch ostatnich etapów wyprawy. Ponadto znajomy mojego hosta pomógł mi załatwić montaż przerzutek w rowerze, co – w obliczu tego, że do granicy z Wenezuelą oraz tuż za nią czekały na mnie znowu spore podjazdy (z wysokości około stu metrów nad poziomem morza do ponad tysiąc trzystu) – było sprawą absolutnie kluczową. Mechanik okazał się zresztą wyjątkowo życzliwy i wziął ode mnie mniej pieniędzy, niż początkowo się umówiliśmy, z kolei, już na samej granicy, przypadkowo spotkany człowiek bezinteresownie zaoferował mi

swoją pomoc, gdy dowiedział się, że mam kłopot z przesłaniem bagażu. Pożegnanie z Brazylią miałem więc podobne do tego, kiedy w równie znakomitym nastroju opuszczałem Boliwię.

Przekroczyłem granicę i rowerem dotarłem do Santa Elena.

Byłem w Wenezueli.

Znów zamierzałem spróbować czegoś nowego.



MICHAŁ KOZOK

Rocznik 1975. Człowiek, którego od dwudziestu lat nieprzerwanie gdzieś nosi. Absolwent krakowskiej AWF, mąż Eweliny i ojciec Natana. W swoim życiu pracował na 39 stanowiskach, wykonując 59 najrozmaitszych zajęć. Zdarzyło mu się zarówno wystąpić w reklamie Nike, jak i patroszyć kurczaki. Uwielbia analizować dane, tworzyć tabelki i statystyki. Podróżuje. Odwiedził już 131 krajów (w pięciu mieszkał), a każdy zamieszkały kontynent przemierzył z jednego końca na drugi bez wsiadania do samolotu (co nie znaczy, że boi się latać). W 2004 roku, podczas nieprzespanej nocy na Amazonce, wpadł na pomysł wyprawy przez Amerykę Południową siłami natury. Dopiął swego po dziewięciu latach. Za to dokonanie otrzymał Kolosa 2013 w kategorii „Wyczyn roku”. Mieszka w Sydney.

www.kozok.eu

Szalona jazda – na wozie, pod wozem, a czasem z wózkiem. Sklepowym albo pustynnym! Opowieść o marzeniu pielęgnowanym przez dziewięć lat. O upadkach, które uczą pokory. O rezygnacji i sile woli, która ją przewycięża. O podróży mającej moc zmieniać życie. O miłości – potężniejszej niż wszystko inne.

13 tys. km z południa na północ Ameryki Południowej. W 10 miesięcy z Cabo Froward na krańcu Chile aż do Punta Gallinas na kolumbijskim wybrzeżu Morza Karaibskiego.

Wyłącznie siłami natury. Biegiem, pieszo, wplaw, wspinając się, pchając wózek sklepowy i taczkę, na pontonie, w kajaku, rowerem, hulajnogą i ciągnąc wózek pustynny. Rowerem wodnym, łodzią wiosłową, pod żaglem, canoe, deskorolką i na paralołtni. Wszystkim, byle nie miało silnika.

Michał Kozok, radykalnie uczciwy i konsekwentny w dążeniu do celu, na trasie nie pozwalał sobie nawet na skorzystanie z windy ani z ruchomych schodów. Przedzierał się z maczetą przez las tropikalny, przemierzył samotnie pustynię Atacama i wspiął się na sześciotysięcznik. I ciągle przy tym śmiał się z samego siebie.

W kilku etapach podróży towarzyszyła mu Ewelina, jego żona, a przez cały czas dmuchana kaczka, Grażynka.

Sorus
www.sorus.pl

Najbardziej zwiariowana wyprawa roku
(off.sport.pl)

Sponsor:

ACADEMIESAUSTRALASIA
THE POSSIBILITIES ARE INFINITE

Dokonał rzeczy niebywałej
(Kolosy.pl)

Patroni medialni:

PODRÓŻE KONTYNENTY
SPORT.PL **kolosy.pl** **peron4.pl**

Cena: 42,90 zł

ISBN 978-83-63768-58-4

